12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 9 czerwca 1946 r. | Nr 23 (80)

TADEUSZ DOBROWOLSKI

O hermetyzmie i społecznej izolacji dzisiejszego malarstwa

UWAGI WSTĘPNE

Zamiast wyrazu malarstwo należało może w tytule tego artykułu użyć szerszego pojęcia sztuk plastycznych. Ale pewne, dla współczesności typowe zjawiska występują przejrzyściej w malarstwie niż w rzeźbie, nie mówiąc już o architekturze, której funkcja jest inna niż sztuk przedstawiających, tj. malarstwa i rzeźby, chociaż i one nie zawsze muszą „przedstawiać". W takim skrajnym przypadku w grę wchodzą formy abstrakcyjne, zazwyczaj geometryczne o znaczeniu czysto zdobniczym — uzasadnione więc tylko wówczas, kiedy istotnie zadaniem ich jest dekoracja; typowym tworem dekoracyjnym jest dywan ze swą skłonnością do abstrakcyjnego ornamentu.

Za przedmiot rozważań obrano malarstwo jeszcze dlatego, że czasy nowsze i najnowsze wypowiadają się chętniej językiem malarstwa niż rzeźby w przeciwieństwie np. do starożytnej Grecji lub do Egiptu. Do omówienia zaś hermetyzmu a więc ekskluzywności malarstwa oraz całego splotu spraw z tym hermetyzmem związanych skłoniły mnie podjęte już próby dyskusji na ten temat, nie przeprowadzone jednakże do końca, poprzestające często na półsłówkach i napomknięciach, to znowu ograniczone do kwestyj programowo-normatywnych, niedostatecznie uzasadnionych i formułowanych niejasno. Mówiąc po prostu, artyści-plastycy zaangażowani czynnie w produkowaniu malarstwa bronią swoich pozycyj, inni artyści, np. prozaicy czy poeci (rozgrywający zresztą między sobą walkę o realizm), atakują te pozycje i żądają od plastyków ujawnienia programu. Rozstrzygnięcie sprawy obecnego malarstwa jest niełatwe, równie niełatwe jak walka z dziejącym się życiem lub jak jednoznaczna odpowiedź na tzw. pytania zasadnicze, zwłaszcza dla kogoś, kto nie dysponuje gotowym kodeksem z apriorycznymi receptami na leczenie wszystkich chorób tego najlepszego ze światów.

O zapowiedzianych w tytule sprawach będę się starał pisać jasno, o ile możności potocznym językiem, na który, jak mi się zdaje, można z powodzeniem tłumaczyć wiele języków naukowych. Będę też pisał o pewnych sprawach z absolutną szczerością, nie unikając twierdzeń czy domniemań dzisiaj „niemodnych", rzekomo przezwyciężonych i ściągających na głowę tego, który je „odgrzewa" zarzut ignorancji i co gorsza, wstecznictwa. Dopuszczę się różnych grzechów przeciw obowiązującej dziś wierze estetycznej tym śmielej, że bardzo lubię współczesną, nieco perwersyjną i „wyłączną" sztukę, ale równocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że swoich subiektywnych upodobań, choć od nich wyzwolić się nie można, nie wolno podkładać pod wnioski, ponieważ wnioski, jeśli mają być prawdziwe, powinny wynikać logicznie z obiektywnych przesłanek. Czy mi się uda znaleźć odpowiedzi na wszystkie trapiące nas dzisiaj w dziedzinie plastyki pytania, to inna sprawa. W każdym jednak razie ukażą się różnorodne przekroje interesujących nas faktów, które, jak mniemam, pozwolą nam je lepiej odczytać i pojąć.

GŁÓWNE CECHY DZISIEJSZEGO MALARSTWA

Wielokrotnie dokonywane rozbiory dzisiejszego malarstwa (mam na myśli głównie okres od 1907/8, tj. od pojawienia się kubizmu) zwalniają na razie od podjęcia nowej próby jego charakterystyki. Zwróci się jednak uwagę na główne cechy malarstwa, ponieważ jest to potrzebne do zrozumienia pewnych reakcyj społecznych. Oto spostrzeżenia odnoszące się do najważniejszych kierunków współczesnego malarstwa:

Kubizm rozkawałkował przedmiot, obszedł go dokoła czy też poruszył, przyjmując różne kąty widzenia i łącząc ten przedmiot z innymi, mniej lub więcej czytelnymi, tj. przypominającymi otaczającą nas rzeczywistość — ujawniał trochę naiwną słabość do pewnych przedmiotów, np. do skrzypiec lub stożków oraz, jak z jego nazwy wynika, budował swoje rytmiczno-statyczne konstrukcje z form na ogół kubicznych. Posługiwał się szeroką, często jednolitą plamą barwną, wyjątkowo różniczkując fakturę („martwe natury" Braque'a nie reprezentują czystego kubizmu). Unikam tu rozmyślnie znanej nadbudowy frazeologicznej kubizmu, poprzestając na prostym, obiektywnym oglądzie jego tworów.

Nadrealizm, kierunek niejasno sformułowany, o wielu różnych obliczach, kojarzył obce sobie przedmioty, jak posąg antyczny i lokomotywę, zwykłe wnętrze mieszkalne i łeb potwornego zwierzęcia; zwracał uwagę na treść obrazu jako ważny czynnik dzieła, a pod względem formalnym był eklektyczny, gdyż oscylował od kubizmu do klasycyzmu. Szukanie nadrzeczywistości skłaniało do nieoczekiwanych zestawień przedmiotów na podobieństwo zbitek sennych.

Ekspresjonizm, który również ciążył nieraz ku kubizmowi, uprawiał deformację przedmiotów, ale ich nie rozbijał, przy czym jego tendencje wynikały z samej nazwy kierunku. Tak jak impresjonizm można nazwać, zgodnie z semantyczną treścią wyrazu, malarstwem wrażeniowym lub doznaniowym, tak dla spolszczenia słowa ekspresjonizm wolno użyć terminu: malarstwo wyrażeniowe lub malarstwo wyrazu.

Fauves (dzikich) reprezentował przede wszystkim Matisse, którego sztuka nawiązując do realnej rzeczywistości (liczne „Odaliski"), przemienia tę rzeczywistość na zupełnie płaskie, tapetowe zespoły intensywnych, lecz wyszukanych i olśniewających kolorów, z którymi godzą się różne akcenty graficzne.

Koloryzm (nawa nasza) posiada najtypowszego przedstawiciela w spadkobiercy impresjonizmu Bonnardzie, którego cechą kardynalną jest absolutne poczucie koloru. Bonnard maluje ludzi, krajobraz i martwe natury, które również tworzą dywanowe, nieprzestrzenne powierzchnie z tym, że ich frenetyczna to znowu finezyjna i ściszona barwność oraz wyjątkowo bogata faktura warunkują ich zupełną inność w stosunku do oszczędnej i prostszej (w założeniu) sztuki Matisse'a. Od klasycznych impresjonistów odróżnia Bonnarda nadrzędna i autonomiczna rola koloru, który u impresjonistów był jeszcze funkcją światła.

Ta zbyt zwięzła charakterystyka obecnego malarstwa nie wyczerpuje wszystkich jego wyglądów; brak w niej nawet tak znanych nazwisk, jak: Derain, Vlaminck, Rouault, Grommaire, Segonzac, Dufy itd., ale, jak wspomniano już wyżej, chodzi na tym miejscu tylko o ilustrację pewnych zjawisk, dla współczesności typowych, a powyższy ustęp ten postulat jako tako spełnia.

STOSUNEK MALARSTWA DO NATURY

O żadnym z opisanych kierunków nie da się orzec, że reprezentuje realizm, chociaż zawiera elementy realne, przedmiotowe, bez których żadna sztuka przedstawiająca obejść się nie może. A więc kubizm przedstawia, choć nie zawsze, przedmioty konkretne, jak człowieka, stół, owoce lub gitarę — surrealizm również łączy ze sobą często rzeczy znane z doświadczenia, — Matisse komponując płaskie malowidła, określa ich treści stosunkami, panującymi w świecie rzeczywistym, wobec czego dokoracyjne plamy tych malowideł można też interpretować jako sprzęty, tkaniny, kobietę. Przedmioty w sztuce Bonnarda, chociaż jeszcze czytelne, tracą nieraz znaczenie jako byty fizyczne, podporządkowane niemal bez reszty autonomicznej, malarskiej powierzchni dzieła.

Krótko mówiąc, malarstwo współczesne nie zrywając całkowicie kontaktu ze światem rzeczy, bo to oznaczałoby poprzestanie na abstrakcyjnym ornamencie, traktuje przecież naturę jako **źródło form**, ściślej **impulsów form** czy tylko **sugestyj form**, przeznaczonych do budowy własnych konstrukcyj, których sens najbardziej istotny określają granice samego obrazu, nie wymagając od widza konfrontacji przedstawień z ich modelami (jeśli zaś widz tak postępuje, to postępuje niewłaściwie). Modele te bywają bowiem przerobione przez tryby i walce mechanizmu twórczego nieraz tak gruntownie, że przetwór nie przypomina już w niczym surowca. Są to oczywiście przypadki skrajne, ale dzięki nim najłatwiej uchwycić istotę pewnych dążeń i zjawisk. Przykładem łatwym są ludzie Picassa, niby to jeszcze ludzie, lecz raczej wyimaginowane twory, złożone z trójkątów i rombów, których rzutowanie w rzeczywistość fizyczną i społeczną nie ma właściwie sensu.

A nawet u Bonnarda autonomiczna materia malarska jest do tego stopnia bogata i bogactwem swym oszałamiająca, że przysłania świat rzeczywisty, na pozór przedstawiony w obrazie. I aczkolwiek chodzi np. o wnętrze z oknem otwartym na ogród, o jakieś śmietankowe czy poziomkowe ściany przekreślone zieloną okiennicą, to na ścianach tych dzieje się tyle spraw czysto malarskich, że owe ściany stają się tylko i naprawdę pretekstem do pokazania **nowej rzeczywistości**: jakiejś czystej malarskości, wysublimowanej w kształt chyba ostateczny i prawie nieprzekraczalny, z którego wyjście może prowadzić już tylko w dziedzinę abstrakcji. Tę inność w stosunku do zewnętrznego świata podkreśla artysta w sposób nie pozbawiony perwersji, bo unika uproszczeń i deformacyj typu konstrukcyjnego (Cézanne, Gauguin), żeby zastąpić je rysem infantylizmu, świadomą niezręcznością rysunku, wskutek czego jego ludzie potwierdzają przypisaną im rolę pretekstu, rolę podłoża pod jakości wyczulonych kolorów. Uproszczenia Cézanne'a służyły uchwytnej i przejrzystej geometrii obrazu, wyznaczały jego przestrzenną (nie tylko malarską), bryłowatą strukturę. Uproszczenia Bonnarda wypływają z czystej malarskości, ułatwiając swobodne prowadzenie pędzla, niekrępowanego sztywną granicą rysunku.

Malarstwo Bonnarda omówiono szerzej dlatego, że dzisiejsza oficjalna sztuka polska pozostaje z nim w ścisłych związkach, że zarówno kapiści jak i zbliżeni do nich ideowo malarze uprawiają podobny kult koloru jak malarz francuski, że ich stosunek do natury i malarskiego rzemiosła jest regulowany takim samym poglądem na świat, jaki tkwił u podstaw współczesnego malarstwa francuskiego.

NIEPOPULARNOŚĆ MALARSTWA

Omówione malarstwo, a więc malarstwo współczesne, jest niepopularne w masach. Nie tylko w masach ludowych, pozbawionych zresztą praktycznej możności współżycia ze sztuką, lecz także w sferach inteligenckich. Jest to fakt, któremu zaprzeczyć nie podobna, bo wystarczą nawet pobieżne obserwacje nad naszą i obcą inteligencją (nie należy jej utożsamiać z drobnymi grupami intelektualistów), żeby się przekonać, iż na ogół w sferze tej współcześni artyści albo są nieznani nawet z nazwiska, albo o dziełach ich posiada się zupełnie opaczne pojęcie, splecione z niedwuznaczną skłonnością do upatrywania w nich po prostu bohomazów. W praktyce sztuka malarzy współczesnych jest uznawana przez nich samych, przez niektórych teoretyków sztuki, przez nielicznych kolekcjonerów, w których wyzwala zwykłą manię zbieractwa albo którzy ryzykują zakupy obrazów w celach lokaty kapitału, — przez „marchandów", którzy na niej robią interesy, przez bogatych snobów, którzy chcą być „en vogue" i afirmują wszystko co modne, wreszcie przez garść szczerych entuzjastów.

Słowem, **osamotnienie sztuki** (pisałem o tym przed laty w „Przeglądzie Współczesnym") nigdy nie było tak zupełne jak dzisiaj. Sytuacja ta budzi najgłębszy niepokój i zmusza zarówno do tropienia jej przyczyn jak i do szukania dróg wyjścia z impasu, tym więcej, że od malarstwa odwróciły się nawet inne sztuki wraz z architekturą i rzeźbą. Architektura wysuwa bowiem na czoło tezę użytkowości, przeciwną malarstwu, które nie jest konieczne do biologicznego istnienia człowieka, — rzeźba zaś, jeśli mierzyć ją najwybitniejszymi z tej dziedziny nazwiskami Maillola, Bourdelle'a, Despiaux, a u nas Dunikowskiego, Wittiga i Zamoyskiego, nigdy nie odeszła tak daleko od natury i człowieka jak malarstwo, nigdy nie stała się tak wyrafinowana, delikatna, przeczulona — i skrajna w swoim formalizmie jak malarstwo, gdyż uchroniła ją przed tym jej przestrzenność, jej bryła, założona już przez

MALARSTWO POLSKIE

JÓZEF PANKIEWICZ (1866—1941) Portret Feliksa Jasieńskiego

sam rodzaj tej sztuki oraz jej tektoniczna budowa, znowu uzasadniona koniecznością statyczną.

Twierdzeniom tym można by przeciwstawić domysł, zapewne słuszny, że i dawniej, np. w epoce Odrodzenia czy Średniowiecza, najintymniejsze uroki dzieł sztuki nie docierały do świadomości szerokich sfer odbiorczych i były dostępne niewielkiej liczbie osobników, obdarzonych szczególną dyspozycją do sztuk plastycznych, pogłębioną wykształceniem. Nie zmieniało to jednak faktu, że sztuka była masom **potrzebna**, że w jej życiu masy te brały bezpośredni udział, jak przy wznoszeniu gotyckich katedr, że ze sztuką tą obcowały codziennie na terenie kościoła, cechu, placu publicznego, podczas obrzędów religijnych i świeckich, pochodów, zebrań itd. Zapewne i wówczas artyści nie zawsze byli zadowoleni ze swej publiczności, czego wymownym dowodem jest napis Łukasza Mosera na jego słynnym ołtarzu w Heilbronnie z XV w. „biada ci sztuko, której nikt nie potrzebuje" (cytuję z pamięci), ale przecież dowodziłaby pedantyzmu dalsza argumentacja na rzecz integralnego splotu sztuki z życiem prywatnym i społecznym w epoce Średniowiecza, Odrodzenia oraz w innych, dawniejszych okresach dziejowych.

PRZYCZYNY OSAMOTNIENIA (DOWODZENIE PRZEZ KONTRAST)

Zestawienie dzisiejszej sztuki z dawną, czyli sztuki izolowanej ze sztuką społeczną, wprzągniętą w aktualny tok życia, powinno wyjaśnić powody osamotnienia malarstwa dni dzisiejszych. Wielorakość dawnej sztuki utrudnia jednak przeprowadzenie porównań. Musimy więc szukać w mnogości jej przejawów właściwości wspólnych, podobnie zresztą jak postąpiliśmy w stosunku do malarstwa współczesnego. Postępowanie takie wiedzie wprawdzie do nadmiernych uproszczeń, ale metodologicznie jest usprawiedliwione. Otóż, jeśli spróbujemy objąć całą dawną sztukę syntetycznym spojrzeniem, to niezależnie od olbrzymich różnic między poszczególnymi stylami (różnic zrozumiałych wobec dystansów czasowych, przestrzennych i etnicznych, odcinających od siebie wielkie fenomeny artystyczne w rodzaju malarstwa dyluwialnego, sztuki egipskiej, kreteńskiej, asyryjskiej, greckiej, bizantyjskiej, romańskiej itd.) — zauważymy, że:

1) sztuki plastyczne nie istniały nigdy same przez się czy same dla siebie, lecz **służyły** zazwyczaj heterogenicznym celom duchowym lub praktycznym: magicznym, religijnym, politycznym (np. w okresach tzw. sztuki władczej), społecznym, wreszcie osobistej samowiedzy człowieka (portret cechowy, rodzinny, obraz wotywny). a przynajmniej — naturze;

2) poprzez te służby, czy, jeśliby wyraz „służby" miał naruszyć czyjąś przewrażliwioną ambicję, poprzez rozliczne sprzęgła z bieżącym życiem sztuka w minionych czasach zyskiwała aktualność najwyższego rzędu, była potrzebna, więcej, była nieodzowna jako **konieczny atrybut** całej rzeczywistości socjalnej;

3) sztuki przedstawiające zgodnie ze swoim założeniem potwierdzały świat fizyczny, doskonały, bo stworzony przez demiurga, Boga, istotę rozumną — i dążyły do **obiektywnej wierności** w jego odtwarzaniu, czego nie może zmienić ta okoliczność, iż wyniki w stosunku do dążeń kształtowały się bardzo rozmaicie oraz, że dążenia te w pewnych okresach ulegały zatarciu (Bizancjum), w innych zaś zyskiwały na sile (Odrodzenie);

4) naturalistyczny cel ujarzmienia świata łączyły sztuki plastyczne z **tendencjami poznawczymi**, np. z dążeniem do opanowania postaci człowieka (studia rzeźbiarzy greckich, kanon Polikleta, perspektywiczne zdobycze renesansu, rozwój anatomii...);

5) dla sztuk tych, które czemuś służyły i coś wyrażały i to nie tylko przedmioty, lecz także ich sens pozaficzny, tzw. **treść dzieła** miała poważne znaczenie, wobec czego nie jest błędem historii sztuki, że np. Zurbarana uważa się za malarza kompozycji religijnych, aczkolwiek namalował on także znakomitą martwą naturę. Nie jest też błędem, jeśli w odniesieniu do Goyi zwraca się uwagę na sprawy takie, właściwie nic wspólnego nie mające z samym rzemiosłem malarskim, jak jego patriotyzm i gorzki sarkazm w stosunku do zwyrodniałego dworu hiszpańskiego. Te dwa przykłady, które można by mnożyć bez końca, uprzytomnią czytelnikowi wagę treści obrazowych, łatwą również do uzasadnienia logicznego. Opisane stosunki, regulujące życie — i to jakie życie! — dawnej sztuki były wynikiem zgodności między przyrodzoną naturą człowieka a jego działaniem artystycznym. Bo nie ulega wątpliwości, iż oprócz wielu dyspozycyj wrodzona jest człowiekowi dyspozycja do naśladowania, odtwarzania lub przedstawiania (oczywiście przedstawiania czegoś). Pojęcie dzieła sztuki **wyłącznie** jako nowej rzeczywistości, odrywającej się w swym kształcie dopełnionym od rzeczywistości „danej" jest jednostronnym rezultatem metafizycznego stosunku do dzieła w odróżnieniu od socjologicznej metody badania. Dzieło, pojmowane metafizycznie, tj. w oderwaniu od reszty fizycznego świata i warunków swego powstania, a więc rozważane „samo w sobie", „samo dla siebie", musi doprowadzić do koncepcji nowej rzeczywistości. Dzieło badane w jego związku z dynamicznym życiem, z przyczyną i skutkiem, zarysowuje się w świadomości jako część zmiennej całości a z punktu widzenia psychologicznego, jako produkt pierwotnego popędu przedstawiania — i aktu twórczego.

Zbliżenie się do idealnej natury, osiągnięcie doskonałości tworów naturalnych to przecież motyw przewodni marzeń i dążeń artystów na przestrzeni wieków (pisma Leonarda da Vinci, Dürera, Cézanne'a), realizowanych na tak różne sposoby, że wiele z nich interpretujemy dzisiaj jako typową stylizację i czysto estetyczną konstrukcję. Większość obrazów np. gotyckich jesteśmy skłonni rozumieć jako prymitywny owoc tendencyj zdobniczych, a w gruncie rzeczy były one wynikiem głębokiej troski o zgodność dzieła rąk ludzkich z naturą, oczywiście w granicach ówczesnego poznania, praktyk cechowego warsztatu i żelaznych norm panującego stylu.

Człowiekowi wrodzony jest także popęd do wyrażania swych myśli, uczuć, przeżyć i doświadczeń przy pomocy pędzla, dłuta lub pióra, w zależności od rodzaju uzdolnień. Dlatego malarz średniowieczny, czy renesansowy a także malarz epoki romantyzmu wyrażał coś, co istniało poza sferą samego malarstwa. Obrazy Delacroix czy Rodakowskiego to nie tylko plamy barwne a nawet nie tylko łatwo zrozumiałe przedstawienia rzeczy, lecz także ładunki energii psychicznej, twory ideowe i wyznania nie tylko typu formalnego. W ten sposób można by cytować dłużej właściwości sztuk pięknych, dowodzące ich współbrzmienia z naturą ludzką i życiem społecznym, ale przytoczony materiał dowodowy powinien wystarczyć, ponieważ sprawa przedstawia się jasno. Powtarzamy, malarstwo w owych dawnych, „dobrych" czasach było przeżywane i pojmowane przez masy dla swojej **zgodności z naturą człowieka.**

Wobec tych twierdzeń nie trudno już odpowiedzieć na najbardziej interesujące nas pytanie: dlaczego inaczej jest dzisiaj? Dlaczego dzisiaj nawet ludzie wykształceni odnoszą się np. do malarstwa w sposób zgoła obojętny? Odpowiedź nasuwa się sama: ponieważ dzisiejsza sztuka a zwłaszcza dzisiejsze malarstwo jest zaprzeczeniem tych cech, jakie zawsze zbliżały ludziom sztukę; jest równocześnie **zaprzeczeniem dyspozycyj** człowieka. I dlatego obawiać się wolno, iż sprawy swojej z człowiekiem nie wygra.

GENEZA IZOLACJI

Początek procesu, którego rezultatem miał się stać rozbrat między sztuką a społeczeństwem, przypada na ów historyczny w formowaniu się nowoczesnego człowieka moment, kiedy odkryto **indywidualność.** Odkrycia tego dokonał humanizm w ślad za filozofią grecką (podług Protagorasa „człowiek jest miarą rzeczy"), a potwierdził je niezwykły urodzaj na geniuszy w epoce Odrodzenia. Zewnętrznym wyrazem zmiany w dziedzinie sztuk plastycznych było przeciwstawienie średniowiecznym anonimom ogromnej ilości nazw osobowych. O twórcach romańskich i gotyckich fresków, o wykonawcach olśniewających witraży, nieprześcignionych dotychczas, o genialnym mistrzu rzeźb portalowych w Chartres nie wiemy nic. Natomiast renesansowy biograf przekazuje nam dokładne wiadomości nawet o drugorzędnych artystach epoki. „Renesans" Burckhardta to w dużym stopniu rewia świetnych i zbrodniczych osobników, kondotierów i tyranów, wyprzedzających schyłkowy mit „nadczłowieka". Wiemy, że na polu sztuki ów rozkwit indywidualizmu przyniósł zrazu wspaniałe owoce. Ale były to owoce zatrute. Falista linia każdej ewolucji wyznacza jej początek, fazę dojrzałości, przekwitania i **schyłku** — a człowiek upiera się znowu przy wyprowadzaniu konsekwencyj ostatecznych z każdego odkrycia. W dziedzinie sztuki przekształcenia odbywały się zrazu dość wolno, hamowane trwaniem wielu wartości tradycyjnych. Lecz wartości te były podważane raz po raz przez buntowniczą myśl nowożytnego człowieka, który jako okaz nowego gatunku osiągnął szczyt w ciągu XIX wieku, tego człowieka, który swą **wolność** okupił rozdarciem wewnętrznym oraz rozbiciem świadomości społecznej, kulturalnej i religijnej, w końcu zaś koncepcją katastrofizmu i ponurą demonstracją barbarzyństwa.

Z czasem doszło do tego, że sztuka nie mogła już być odbiciem poglądu na świat swej epoki ani go wyrażać, nie mogła zatem wytworzyć **stylu**, bo ideowa wspólnota ludzkości została zastąpiona rojowiskiem ścierających się nawzajem systemów filozoficznych lub tylko poznawczych. Proces atomizacji świata odbywał się w sposób progresywny: wiek XVIII wierzył jeszcze w rozum i postęp, wiek XIX nie wierzył już w nic. Typowym dla stulecia zjawiskiem był sceptycyzm a paliatywem przekonań było przywiązanie do liberalizmu gospodarczego — i psychologii. Wiek XVIII kończył się filozofią Kanta, który punkt ciężkości dociekań przeniósł z obiektywnego świata rzeczy na człowieka, na jego jaźń i przyznał człowiekowi przywilej poznawania, a w interpretacji Fichtego także **kształtowania** świata podług wrodzonych mu apriorycznych kategoryj. W ten sposób zostały założone podwaliny także pod **sztukę jaźni,** narzucającą swą wolę, swoje widzenie, swoje nadrzędne stanowisko otaczającej nas materii. Uzasadniono więc z góry nie tylko romantyzm, lecz także impresjonizm z jego „pryzmatem temperamentu", kubizm, ekspresjonizm..., słowem wszystko, co wypływa i wypłynąć może z artystycznej jaźni i przeciwstawić się światu.

Konsekwencją kantyzmu był zapewne wspomniany już psychologizm, wielki rozwój wiedzy o świadomości i podświadomości człowieka, kształtującej w dziedzinie sztuki przede wszystkim piśmiennictwo a osiągającej apogeum w dziele Prousta i Tomasza Manna. Psychologizm ten, traktujący człowieka jako osobliwy i bezwolny żywioł kierowany zmienną grą popędów i nastrojów, owocuje w utworach Huxleya, w jego żałosnych i okrutnych bohaterach, kojarzących indyferentyzm moralny z inercją. Psychologizm ten przez apoteozę wolności życia wewnętrznego usprawiedliwia wyniki psychicznego i praktycznego działania, jakimkolwiek by było („tout comprendre c'est tout pardonner"); uzasadnia więc także współczesne malarstwo.

ETAPY HERMETYZMU

W atmosferze wolności malarstwo XIX wieku kształtowało się w ten sposób, że przepaść między nim a społeczeństwem stawała się coraz głębsza. Z wyolbrzymionym szacunkiem dla swej indywidualności łączyli artyści wybitną skłonność do specjalizacji. Dążenie to było zrozumiałym wynikiem braku całkującej myśli filozoficznej a równocześnie niebywałego rozwoju nauki. Rozbudowa wiedzy uniemożliwiała jej opanowanie i zmuszała do specjalizacji, która stawała się też względnie spokojną przystanią dla myśli, zarażonej „metafizycznym niepokojem", promieniującej z powikłanej sytuacji duchowej stulecia. Specjalizacja, dyktowana koniecznością praktyczną, bywała więc także ucieczką od trudnego życia i schronieniem. — Równocześnie była ona spoiwem cementującym szczupłe grono przedstawicieli jednakich zawodów — a także narzędziem kawałkującym społeczeństwo na drobne grupy, obce sobie wzajemnie. To zjawisko specjalizacji, występujące coraz silniej w dziedzinie sztuk pięknych, prowadzi do swoistej egzaltacji tajnikami rzemiosła i staje się jednym z powodów pogłębiania się przedziału między sferami laickimi, a wąską klasą wtajemniczonych magów sztuki (dzisiaj, żeby naprawdę pojmować obraz, trzeba samemu malować i obcować bezpośrednio z tzw. kuchnią malarską, która tyle znaczy we współczesnej sztuce).

Szczególnie silny rozdźwięk między twórcami a odbiorcami wystąpił w latach siedemdziesiątych w związku z pojawieniem się impresjonizmu, albowiem zwykli ludzie nie mogli się pogodzić z faktem, że zamiast przedstawienia drzew lub tafli wodnej pokazuje się im dywaniki z różnobarwnej włóczki, do jakiej porównywano bruzdy grubo nakładanej farby. I aczkolwiek impresjonizm należy już do odległej przeszłości, istnieje na pewno dużo ludzi, którzy w nim wciąż jeszcze widzą owe strzępy włóczki. Potem, jak wiemy, przyszły inne kierunki, pojawili się Cézanne i Van Gogh, Bonnard, Matisse, Picasso i Derain z tym, że na ogół (bo np. Derain a nawet Picasso mieli fazy klasycyzmu i realizmu) dystans między producentami a odbiorcami stawał się coraz większy, czego przyczyny próbowaliśmy już wyjaśnić.

W obronie tych sztuk hermetycznych i ezoterycznych wysuwano popularne twierdzenie, że każda nowa sztuka spotyka się z niezrozumieniem, następnie, że do każdej nowej sztuki można się z czasem przyzwyczaić. Nie jest to jednak ścisłe, bo zazwyczaj właśnie nowe ujęcie formalne wywierało na współczesnych bardzo silne wrażenie (Giotto, Van Eyckowie, Michał Anioł, El Greco); co zaś do oswojenia się z nowością, to stwierdzić trzeba, że z większością formacyj artystycznych z przełomu XIX i XX wieku nie oswojono się po latach czterdziestu, co jak mi się zdaje, jest pierwszym tego rodzaju przypadkiem w historii sztuki. I, obym był fałszywym prorokiem (w interesie swych przyjaciół — malarzy), jestem przekonany, że nie dojdzie do tego nigdy, pomimo pewnej popularności owych sztuk w niektórych, wąskich grupach koteryjnych.

Z kierunków tych największy ciężar gatunkowy posiada najstarszy z nich **impresjonizm**, któremu zawdzięcza się wprost rewolucyjne odkrycia w dziedzinie światła, a który zawiera w sobie prawdziwie niepokojące sprzeczności. Można bowiem w nim widzieć przejaw scientyzmu, a mianowicie wyzyskanie wyników optyki, ale równocześnie przekreślenie wiedzy o przedmiotach i zastąpienie jej subiektywnym wrażeniem (subiektywizm ten jest oczywiście formą historycznego już indywidualizmu). I znowu, można w impresjonizmie dostrzec degradację przedmiotów i ich demokratyczne zrównanie wobec praw optycznych — słońcem oblana rudera może reprezentować więcej niż pałac — przede wszystkim zaś degradację człowieka traktowanego analogicznie jak drzewo lub garnek. Należy jednak podkreślić wywyższenie człowieka-artysty, którego osobiste, nawet przelotne wrażenie warunkuje dzieło. Impresjonizm określa się wreszcie jako niewątpliwą rewolucję w widzeniu świata i jego interpretacji — a równocześnie trzeba w nim uznać sztukę wyraźnie mieszczańską. W praktyce bowiem była to sztuka popierana przez snobistyczne klasy posiadające (co prawda niezbyt gorliwie) i mimo swej niekiedy proletariackiej tematyki (Degas, Toulous-Lautrec) dogadzająca ich próżności. Impresjonizm domagał się bowiem znawstwa i wyrafinowanej wrażliwości, czego nie mógł znaleźć w masach, nieczułych na subtelne, zielonkawe lub błękitne gamy, na akordy różów i fioletów.

Ujmując w ten, jednostronny niewątpliwie, sposób impresjonizm, wypada się zastrzec, że chodzi tu o jego postać graniczną, tym więcej, że malarze zaliczani do impresjonistów różnili się nieraz między sobą tak silnie, iż właściwie trzeba by mówić o różnych impresjonizmach. Nie mamy więc na myśli np. Renoira, którego kobiety, dzieci i kwiaty sugerowały żywą urodę świata, którego też można przyrównać do Tycjana dzięki jego sztuce pełnej i radosnej. Impresjonizm liczył się zresztą jeszcze z obiektywną rzeczywistością, a przynajmniej z pewnymi jej właściwościami, jak np. ze słonecznym światłem, którego tajemnicę opanował dzięki zdobyczom analizy spektralnej. Toteż należy go traktować tylko jako wstęp do krańcowych fenomenów artystycznych początków XX w., jako sztukę, pomimo częściowego zerwania z tradycją, skojarzoną jeszcze ze światem przedmiotów i ich naturalnymi bytami.

W bez porównania silniejszym stopniu syciła ekskluzywizm społeczny sztuka poimpresjonistyczna łącznie z kubizmem, surrealizmem i fauvizmem, dostarczająca szczupłej warstwie górnej naskórkowych dreszczów i przyjazna jej perwersyjnym gustom. Oto żałosna rola rewolucjonistów i „dzikich", anarchicznych „dada" i kubistycznych rozbijaczy świata, wprzęgniętych w rydwan finansjery i pogardzanych filistrów. Ale bo dla mnie, zastrzegam się, że chodzi tu już o czysto osobiste wrażenia — nawet w brzmieniach nazw tych kierunków, jak surrealizm, kubizm, dada, ekspresjonizm, fauves pojawia się wydźwięk „epatujący" i drażniący, łechcący nerwy schyłkowych i zblazowanych pokoleń.

Nie można jednak naświetlać tych spraw jednostronnie, tj. tylko od strony ich społecznego aspektu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wymienione kierunki miały też fanatycznych i bezinteresownych prozelitów. Wyznawcy ci jednak byli i są do tego stopnia nieliczni, że można ich uważać za uboczny produkt zbłąkanej epoki, za niecierpliwych poszukiwaczy nowości lub za osobników szczególnie wyrafinowanych, w szczególny sposób umuzykalnionych, wyczulonych na wyszukaną grę barw, płaszczyzn i linij, na ich rytmiczne, harmonijne czy asonansowe związki. Jak wspomniałem już uprzednio, wiele dzieł nawet krańcowych, o słabo zarysowanej warstwie realistycznej, bardzo mi się podoba; byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zawiesić w swym pokoju jakiś obraz Braque'a lub Matisse'a, zwłaszcza zaś Bonnarda, którego kolorowe symfonie uwielbiam. Wiem jednak, że mój prywatny stosunek do malarstwa nie ma nic wspólnego z jego znaczeniem społecznym. Albowiem z faktu subiektywnej afirmacji pewnych zjawisk przez garść „powołanych" nie można wyprowadzać zbyt optymistycznych wniosków. Wiadomo przecież, że w każdym społeczeństwie przeważa masa niewyspecjalizowana w zakresie sztuki, przy czym można mieć prawie pewność, że nigdy nie zostanie wyspecjalizowana w tym stopniu, żeby chłonąć trudne, ciężko czytelne i bardzo wyłączne malarstwo, domagające się od widza gruntownego przygotowania i niezmiernie wyczulonej wrażliwości. Propaganda tej sztuki drogą wystaw, odczytów, czasopism, słowem stosowanie różnych metod kształcenia, aczkolwiek może poprawić nieco sytuację, nigdy jej naprawić nie zdoła w sposób dostateczny, bo, przypominamy, sztuka dzisiejsza godzi we wrodzone dyspozycje człowieka.

Dyspozycje te można wprawdzie tłumić i sublimować przez odpowiednie wychowanie, przez uzasadnioną logicznie interpretację dzieła sztuki jako nowej, autonomicznej rzeczywistości, odrębnej zatem od natury, od realnych bytów — ale instynktu naśladowczego całkowicie wyplenić się nie da, tym bardziej, że właśnie w nim tkwi przynajmniej część korzeni sztuk przedstawiających. I z tym sztuka powinna się liczyć, jeśli pragnie skończyć z samotniczą i wegetacyjną egzystencją, z hermetyzmem i izolacją.

Zapewne, można znaczną część winy za niedobrą sytuację malarstwa zwalić na masy odbiorcze, na ich smak skażony naturalizmem drugiej połowy XIX wieku, a zatem w ogóle na to stulecie pozbawione własnego stylu, eklektyczne i często wulgarne, które obok impresjonizmu wytworzyło szkołę monachijską, akademicki „pompieryzm" i makartowskie wnętrze, ale nie wolno też zapominać o tym, że i współczesna sztuka awangardy jest jego wytworem i że nosi na sobie jego patologiczne znamiona. Tylko, że formy tej patologii kształtowały się różnie, polaryzując się w skrajne przeciwności: na jednym brzegu szerokiego wachlarza zjawisk odnajdziemy bowiem wulgarny i bezmyślny naturalizm, hołdujący najniższym wymogom mieszczańskiego smaku — na drugim spostrzeżemy sztukę perwersyjną i ekskluzywną, bardzo specjalną i trudną, niewątpliwie **wynalazczą** i formalnie wartościową, będącą produktem szczytowej nadbudowy ustroju — a zapewne także dowodem wyrafinowania, typowego dla kultur schyłkowych.

WNIOSKI

Z dotychczasowych rozważań zdaje się wynikać, że produkt czasów schyłkowych — dzisiejsze malarstwo francuskie, trzeba uznać

konsekwentnie za zjawisko schyłkowe. — Wprawdzie próbuje się wysuwać kontrargument w formie tezy, że **sztuka wyprzedza swój czas**, ale wiemy dobrze, że często bywa inaczej i że może być inaczej. W Polsce przynajmniej sztuka niemal zawsze się spóźniała. Niedawno odkryłem obraz z motywem „Chrystusa w studni" wzorowany dokładnie na scholastycznym malarstwie połowy XV wieku a noszący datę zbliżoną do daty „Rozprawy o metodzie" Descartes'a (1637). Jeśli przy tym współczesne malarstwo stanowi produkt i to, jak mi się zdaje, krańcowy pewnej formy indywidualizmu, którego życie ma za sobą co najmniej pięć wieków, to trzeba by niezwykłych zdolności sofistycznych, żeby pojmować je jako zarzewie form przyszłych.

Problem ten można jeszcze rozważać w oparciu o pewne, gotowe schematy teoretyczne, cytowane już w tym artykule. Jeśli się przyjmie teorię prawidłowości rozwoju sztuki, podług której wytyczają go kolejne fazy: archaiczna, klasyczna i barokowa wraz z jej schyłkowymi następstwami, to przymierzenie tego schematu do czasów dzisiejszych potwierdzi pesymistyczną hipotezę. Albowiem na przestrzeni naszego tysiąclecia archaicum reprezentowałoby średniowiecze, klasycyzm sztuka Odrodzenia, barok sztuka XVII i XVIII wieku, konsekwencje baroku impresjonizm a objawy krańcowe rozliczne kierunki XX wieku. Że impresjonizm można traktować jako konsekwencję baroku, zdaje się tego dowodzić jego luminizm oraz demonstrowanie faktury, posiadające istotne odpowiedniki w baroku. I na odwrót, barok można by uważać za rodzaj protoimpresjonizmu, tak jak sztukę giottystów uważa się za protorenesans — wobec czego ciążenie impresjonizmu do Valasqueza i Goyi byłoby czymś więcej niż przypadkiem.

W zmienności i wielorakości formacyj malarskich XX wieku, zwanych kubizmem, futuryzmem, puryzmem, weryzmem, dadaizmem, konstruktywizmem, suprematyzmem, ekspresjonizmem, nową rzeczowością, prymitywizmem, u nas jeszcze formizmem, strefizmem i funkcjonalizmem, dostrzega się z łatwością objawy niepokoju i nerwowego szukania wartości, co powiązane z faktem szybkiego odrzucania (jak nadgryzionego owocu) niedawno reklamowanych wynalazków formalnych, nieznanym do tej pory w dziejach sztuki, musi prowadzić do wniosku, że wchodzą tu w grę zaburzenia typu patologicznego i symptomy kryzysu kultury.

Nasuwa się więc gwałtownie pytanie, czy warto się przywiązywać do wytworów epoki schyłkowej, bronić pozycyj zapewne straconych? Skłonny byłbym w tym przypadku do odpowiedzi negatywnej. Negacja posiada jednak niewielką wartość; zmusza nas zatem do wysunięcia propozycyj konkretnych. Zadanie powinny ułatwić wyczuwalne w naszej sztuce fermenty. Z rozmów prowadzonych z malarzami wynika, że wielu z nich odczuwa tęsknotę za przywróceniem przedmiotom dawnego znaczenia, ba, nawet za sztuką tematową. Młodzi znużeni nadmiarem bezkształtnego koloryzmu, zwracają się (oto paradoks powikłanej epoki) do kubizmu; są i tacy, którzy w nim widzą źródła nowego realizmu. — Nie trudno pojąć przyczyny tej bezradności, jeśli spróbuje się znowu przedstawić sprawę na tle ogólnej historii sztuki. Bo w praktyce zawsze bywało tak, że sztuka jakiegoś narodu czy środowiska wysuwała się na czoło, narzucając reszcie Europy swą wizję i swoje metody kształtowania obrazu. Analiza przyczyny tego zjawiska przerosłaby ramy tego szkicu; wystarczy przypomnieć, że ostatnio prymat w dziedzinie sztuki przypadł w udziale Francji, wskutek czego nasze malarstwo XIX a zwłaszcza XX wieku pozostawało pod wpływem Francji, mimo, że wpływ ten bywał tłumiony przez pośredniczące ogniwo monachijskie, które udało się wyłączyć dopiero pod koniec ubiegłego stulecia. Można więc przyjąć, że od lat przeszło pięćdziesięciu sztuka polska czerpie z francuskiego ogniska artystycznego.

I gdyby dzisiaj nastąpiły we Francji w dziedzinie malarstwa jakieś zasadnicze przemiany z tym, że mielibyśmy sposobność zapoznania się z nimi, nie byłoby przynajmniej dla zawodowców żadnego problemu. Po prostu przeszczepionoby do Polski nowy kierunek artystyczny, który w zależności od swojej siły atrakcyjnej ogarnąłby albo wąską grupę wyznawców, albo narzuciłby się świadomości całego postępowego ogółu tak, jak w swoim czasie renesans, barok czy pseudoklasycyzm. Ponieważ jednak we Francji nie skrystalizował się dotąd nowy styl malarski, ponieważ nikt nas zatem nie wyręczył, w dalszym ciągu nie wiemy co robić.

Zdanie ostatnie nie jest wyrazem ironii, jest natomiast przyznaniem się do bezsilności. Można by jej zaprzeczyć wysunięciem programu (co w końcu zrobimy). Jednakże wyspekulowany program działania artystycznego pozostanie zawsze paliatywem, jak na to wskazuje doświadczenie. W praktyce bowiem zmiany w dziedzinie sztuki bywają niemal z reguły **funkcją prawdziwej wielkości**, zasługą ludzi, których stać na to, żeby wziąć w siebie często niewyraźne i tylko wyczuwalne dążenia epoki, żeby je w sobie przerobić i scałkować, żeby je przetrawić na wartości nowe, ujawnić je wreszcie w gotowych formułach i porywającym działaniu, które z kolei narzuci się innym i pobije na głowę ewentualną opozycję. U podstaw wielkich ruchów artystycznych tkwi prawie zawsze czyn genialnych twórców: zapowiedzią renesansu był Giotto, naturalizmu gotyckiego Jan van Eyck, baroku Michał Anioł. Otóż dzisiaj jeszcze dlatego tak trudno o wielką przemianę, że jak się zdaje, całej Europy nie stać na geniusza. W dzisiejszej plastyce nie widać na razie nikogo, kto zasługiwałby na zestawienie z tzw. klasykami malarstwa.

PROPOZYCJE

Cóż zatem nam pozostaje, skoro nie można się oprzeć na drugich, i skoro pośród nas nie pojawia się tytaniczny osobnik, który by wziął na siebie trud kształtowania nowej kultury plastycznej? Trzeba się będzie uczyć widzenia rzeczy bez pośrednika, w myśl wskazówki Cézanne'a. Wypadnie nawet wystąpić z **programem**, pomimo, że znana nam jest połowiczność i niedostateczność takiego zabiegu. Może trzeba postępować w dziedzinie sztuki tak, jak w życiu politycznym: przede wszystkim **liczyć na siebie**, nie unikając sojuszów. W odniesieniu do malarstwa czy rzeźby sytuacja jest nawet ułatwiona o tyle, że sojusze można tu zawierać swobodnie i to w dowolnych wymiarach czasowo-przestrzennych. Przy szukaniu i prostowaniu dróg naszego malarstwa i w ogóle sztuki warto może pamiętać o faktach cytowanych w 5 ustępie tego szkicu, a w związku z tym uprzytomnić sobie jeszcze jeden fakt bezsporny, że dotychczasowe wielkie ruchy artystyczne, wielkie style — w Egipcie, Asyrii, Grecji, w epoce gotyku, renesansu itd. powstawały pod hasłem **opanowania natury** lub skromniejszym, jak w średniowieczu, zbliżenia się do natury. Hasło to sztukom nie zaszkodziło, a wchłaniany przez nie ładunek życia wypełniał harmonijnie a zarazem dynamizował ich formy. Można by w tym miejscu dorzucić z przekąsem, że naśladowanie natury nie wyszło jednak na zdrowie pewnym odłamom sztuki drugiej połowy XIX wieku. Zarzut ten łatwo odeprzeć przez stwierdzenie, że złe obrazy nie są w ogóle dziełami sztuki i że nie warto się nimi zajmować, chyba w celach specjalnych i teoretycznych. Zarzutowi temu można też przeciwstawić i to, że naturalizm właśnie w tym czasie nie zaszkodził impresjonizmowi, który społecznie zdeterminowany konsekwencjami ustroju, w zakresie autonomicznej malarskości dokonał rewelacyjnych odkryć.

Propagujemy zatem realizm. Realizm ten rozumiemy jako zwrot do rzeczywistości obiektywnej, do przedmiotów i **człowieka**, zarazem do form o tyle prostych, żeby były **zrozumiałe** dla przeciętnych ludzi. Prostoty nie należy utożsamiać ani z prostactwem, ani z obniżeniem poziomu sztuki. Wiemy, że prostota cechowała bardzo wybitne fenomeny artystyczne i znakomitych mistrzów. — Propagujemy związek sztuki z całym życiem społecznym, co może z czasem doprowadzić do powstania także nowej sztuki tematowej, którą należy odróżnić od sztuki ilustracyjnej czy propagandowej. — Celem uniknięcia nieporozumień wyjaśnia się jeszcze, że realizm to nie mechaniczna imitacja rzeczywistości, lecz jej opanowanie i przebudowanie na formy nowe a czytelne właśnie dzięki ich ścisłym związkom z obiektywnym światem — realizm to pogląd na świat. Ta postawa wobec świata nie jest sprzeczna np. z sądami Cézanne'a, że trzeba dbać o **charakter przedmiotu** poprzez interpretację artysty, albo, że malować to nie znaczy kopiować przedmiot, lecz realizować wrażenie (powtarzam za Ramuzem, „Przegląd Artystyczny", nr 2).

Ponieważ nie chciałbym ułatwiać zadania naiwnym naprawiaczom sztuki, pragnącym za wszelką cenę podporządkowania sztuki interesom praktycznym, precyzuję: twór formalnie niezorganizowany nie jest dziełem sztuki; jakości estetyczne i czynniki heterogeniczne tworzą w dziele prawdziwym zestrój harmonijny; temat narzucony artyście i obcy jego wrażliwości artystycznej nie doprowadzi do ukonstytuowania się dzieła sztuki; temat wciela się w adekwatną formę wówczas, kiedy jest naturalnym wyrazem ideowej postawy autora, kiedy wiąże się tak ściśle z jego życiem, iż kategorycznie domaga się realizacji; dzieje się tak wreszcie wtedy dopiero, kiedy artysta (tak jak Giotto lub Michał Anioł) **potrafi** znaleźć artystyczne środki wyrazu, zgodne z jego wewnętrzną, ludzką prawdą.

Celem więc uprzedzenia ewentualnych pochwał pod moim adresem ze strony artystycznej reakcji i bezmyślnych kopistów natury zastrzegam się, że w całej pełni doceniam autonomiczne czynniki formalne, bez których dzieło nie istnieje. Na szczęście doświadczenie uczy, że pozytywny, realistyczny stosunek do świata bynajmniej nie wymaga rezygnacji z uroków pięknej formy, wobec czego dzieło może a nawet musi jednoczyć obydwie kategorie wartości. Są to właściwie sprawy znane, na które nie warto tracić czasu.

Sposobem prowadzącym do wytworzenia nowego realizmu będzie, jak zawsze, sumienne i zaciekłe studium natury oraz opanowanie rzemiosła z jego wszystkimi konsekwencjami natury formalnej. Między innymi malarz znowu przyswoi sobie wiedzę o człowieku i antropomorficzną formą będzie się posługiwał z taką samą swobodą jak artyści epok klasycznych. Sądzimy, że do rzadkości będą należeli malarze, którym narysowanie głowy ludzkiej sprawia wiele kłopotu, a dla których skupienie kilku figur na płaszczyźnie obrazu nasuwa niepokonalne trudności. Przypuszczamy też, że uczelnie artystyczne wyjaśnią swój stosunek do nauki malarstwa w podobny sposób.

Zdajemy sobie sprawę, że pomyślny rozwój sztuki zależy nie tylko od dobrej woli artystów i ich talentu, lecz także od szeregu współdziałających czynników, nie zawsze posłusznych jednostkom. Jednym z tych czynników i nieodzownym zapewne warunkiem przeobrażenia sztuki, warunkiem nowego widzenia jest powstanie **jednolitej kultury**, a w każdym razie **ideologii przewodniej i najbardziej aktywnej** o temperaturze tak wysokiej, żeby ogarnęła i przetopiła wszystkich i wszystko, przynajmniej zaś umysły i serca najbardziej przodownicze i wrażliwe. W takim przypadku problem uspołecznienia sztuki straci automatycznie swą ostrość, bo jeśli wyczekiwany — a coraz bardziej wzbierający na sile nurt ogarnie wszystkich, to także artystów, jeśli wszystko, to także ich sztukę.

KONCEPCJA POŁOWICZNA

Dość często proponuje się dzisiaj praktyczne rozwiązanie problemu sztuki i w ogóle kultury przez afirmację linii podziału między sztuką elitarną a sztuką przeznaczoną dla mas. Rozumowanie zwolenników „sztuki dwojakiej" posługuje się nieraz przykładami niezrozumialstwa, czerpanymi z dziedziny nauki. Skoro nikogo nie dziwi, że teoria względności lub teoria kwantów jest niezrozumiała dla przeciętnych ludzi, którzy pomimo to nie domagają się ich likwidacji, dlaczegóż się dziwić, że masy nie rozumieją np. Picassa lub Legéra. Argument ten jednak nie wydaje się przekonywający, bo sztuka powinna służyć wszystkim, tak jak i owe teorie przez ogniwa pośrednie i coraz to bardziej „praktyczne" wszystkim w gruncie rzeczy oddają usługi. Tylko, że dzieło sztuki nie znosi pośrednictwa, musi tłumaczyć się samo i stawać się przedmiotem bezpośredniego obcowania.

Niemniej mówi się o sztuce laboratoryjnej lub eksperymentalnej, której zadaniem ma być szukanie nowych form wyrazu. Koncepcja dualizmu artystycznego, ogólniej kulturalnego, wyrosła na gruncie dzisiejszej rzeczywistości i tą rzeczywistością w całości się tłumaczy. Wiadomo bowiem, że masy nie korzystają ze sztuki rafinowanej i trudnej, zadowalając się tandetą artystyczną, jakiej zaczęły też ulegać i środowiska wiejskie, odnoszące się pod wpływem miasta z coraz to większym lekceważeniem do własnej kultury tradycyjnej. Ten podział na sztukę elitarną i sztukę dla mas posiada tedy logiczne na pozór uzasadnienie w istotnym układzie stosunków społecznych, w niezaprzeczonym fakcie olbrzymich dystansów kulturalnych, dzielących wszędzie szarego człowieka od przedstawicieli umysłowej i artystycznej elity. Jakże wymagać, żeby poczciwy rentier z prowincji francuskiej lub francuski chłop czytał Valéry'ego, Prousta lub Eluarda, żeby trawił Cézanne'a lub Picassa, co oczywiście można rzutować także na stosunki polskie oraz na stosunki panujące w każdym innym kraju. — Domyślać się wolno, że propagatorzy dualizmu dopuszczają w swym rozumowaniu pewną, automatyczną jak gdyby poprawkę, której zadaniem byłoby niejakie wyrównanie owych antynomij: sztuki elitarnej i sztuki mas, czyli w praktyce sztuki prawdziwej i produkcji imitującej sztukę. To wyrównanie nastąpiłoby drogą zastąpienia tandety dobrą, lecz przystępną robotą artystyczną, dostosowaną wprawdzie do poziomu umysłowego odbiorców, lecz równocześnie oddziałującą na nich kształcąco i pogłębiającą ich życie psychiczne w tym zbożnym celu, żeby z czasem zamienić ugór na żyzną i dobrze uprawioną glebę.

Ale jak to przeprowadzić w praktyce, zwłaszcza w dziedzinie plastyki (w literaturze sprawy te układają się nieco odmiennie)? Czy skłonić Bonnarda lub Braque'a, żeby raz malowali dla siebie i wtajemniczonych, a drugi raz dla powszednich ludzi? Żeby raz tworzyli na poły abstrakcyjne konstrukcje, bytujące własnym, osobliwym życiem, a drugi raz malowali czytelne widoki z natury, wierne podobizny ludzi i rzeczy? A może należałoby, uwzględniając indywidualne skłonności, odkomenderować nieliczne jednostki do elitarnego oddziału „czystych" artystów a większość mniej uzdolnionych osobników do batalionów czarnej, choć ze społecznego punktu widzenia pożytecznej roboty?

Takie rozwiązanie sprawy musi się wydać zbyt łatwe i prostackie. Pomimo praktyczności takiego ujęcia problemu wyczuwa się tu niepokojącą nutę fałszu, tendencję do paliatywu uchwytnego dokładniej przy użyciu metody historycznej. Doświadczenie historyczne poucza bowiem, że od lat około 4000 przed Chrystusem, kiedy pojawiły się trzy pierwsze historyczne cywilizacje świata (egipska, sumeryjska i kreteńska), do połowy XIX wieku po Chrystusie nie dostrzegamy takiej epoki, w której sztuka nie byłaby organiczną jednością. W Egipcie istniała łączność między bazaltowym posągiem władcy a najprostszym, glinianym „dubletem" grobowym, w Grecji między chryzoelefantiną Fidiasza a tanagryjską figurką, w średniowieczu między tumem gotyckim a mieszczańskim sprzętem czy Biblią ubogich, rozsnutą na ścianach wiejskiego kościółka. Tak samo było w renesansie i baroku, podobnie jeszcze w okresie biedermeieru.

Dzisiaj zaś nie można dojrzeć organicznego związku między sztuką Picassa czy Matisse'a a malarstwem „pompierskim", obsługującym większość mieszczańskiego społeczeństwa Francji. Nie można też uchwycić związku między twórczością Pankiewicza lub Makowskiego a sztuką Wojciecha Kossaka lub Czachórskiego, podziwianą przez sfery laickie. — Nie żywimy też złudzeń, że należy się spodziewać w przyszłości wyraźnych sprzęgieł między projektowaną twórczością laboratoryjną a tzw. sztuką dla mas, która w rzeczywistości przybrałaby znowu cechy pseudonaturalistyczne i obraźnicze.

Chyba że myślenie historyczne w odniesieniu do teraźniejszości zawodzi jako metodologicznie błędne z uwagi na odmienną strukturę gospodarczą i kulturalną dzisiejszych społeczeństw, niepodobnych do społeczeństw dawnych. Można by tu jeszcze dodać, że historyczne postępowanie badawcze nie zawsze się pokrywa z myśleniem logicznym, bo z faktu, iż czegoś nie było, nie wynika przecież, że czegoś nie będzie. Rozciągłości ewentualnego błędu na razie jednak wykryć nie możemy. — Dlatego z uporem wracamy do konkluzyj, będących zakończeniem poprzedniego rozdziału, do wniosków płynących z faktów już sprawdzonych, których analizy — i ważności nauczyła nas historia sztuki. Toteż w dalszym ciągu przypuszczamy, że problem sztuki powszechnej, dostępnej zarówno elicie jak masom zostanie rozstrzygnięty dopiero z chwilą nastania kultury jednolitej. Wówczas należy się spodziewać, że sztuka stanie się zjawiskiem uniwersalnym, połączonym ściśle z całym nurtem społecznego bytu. Wówczas, podobnie jak w epokach ubiegłych, sztukę wybitnych twórców będą dzieliły od produkcji mistrzów pomniejszych różnice stopnia, nie stylu; to znaczy, że całej sztuce będą nadawali ton twórcy najbardziej wybitni, wyrębujący nowe drogi rozwoju, odkrywcy nowych wartości, ale odkrywcy tak silnie utwierdzeni w rzeczywistości socjalnej, że sztuka ich będzie tej rzeczywistości odbiciem, jej potwierdzeniem lub jej **drogowskazem**, innymi słowy, sztuka ich będzie przemawiała do **wszystkich** (jak malarstwo Giotta, Rafaela i Van Eycków), szerząc się w coraz to szerszych kręgach za pośrednictwem tłumnej rzeszy uczniów. W ten sposób zwichnięta równowaga między wyglądami dzisiejszej sztuki a istotnymi potrzebami ludzi, między izolowaną grupą rafinowanych i „nieludzkich" konstruktorów czystej sztuki a masami łaknącymi zrozumiałych tworów, zostanie z czasem przywrócona na podobieństwo epok, bardziej harmonijnych od czasów dzisiejszych.

Tadeusz Dobrowolski

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza »Czytelnik« ustanowiła

coroczną nagrodę »Odrodzenia« w wysokości 100.000 zł.

Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1 września 1939 r. (bez względu na wydawcę) lub nadesłany w maszynopisie na ręce jury.

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

Wszelką korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres redakcji »Odrodzenia«: Kraków, Basztowa 15, m. 8.

MAREK ROTH

Na szlakach śmierci

Autor zamieszczonych poniżej fragmentów, które miały wejść w skład większej całości (pod tym samym tytułem), malującej krwawą tragedię Żydów lwowskich w okresie niemieckiego szaleństwa, 17-letni chłopak, samouk z biednej robotniczej rodziny dawał mi we Lwowie do przejrzenia luźne kartki swego rękopisu. Składałem je starannie jako dokumenty chwili, uderzony wielką żywotnością opisu i wstrząśnięty głębią tragizmu zawartego w tych urywkach, pisanych z niewątpliwym talentem. Niestety, młodzieńczy autor nie zdołał ukończyć swej pracy — zbrodnicza kula niemiecka dosięgła go w momencie, gdy już po likwidacji lwowskiego ghetta opuszczał miasto, aby szukać schronienia na prowincji. Obecnie oddając do druku kilka uporządkowanych fragmentów, pragnę w ten sposób ocalić pamięć młodocianego pisarza i uchronić od zapomnienia te urywki dobrej, autentycznej prozy.

Jan Tański

Nigdy nie przypuszczałem, że cegły są takie ciężkie. A gdy już sześćdziesiątą przenoszę z drugiej ulicy, to mi się zdaje, że są cięższe nawet od opaski, którą noszę na ramieniu. Biała opaska z niebieską gwiazdą... Dziadek kilkakrotnie powtarzał, że ta opaska nas wcale nie hańbi. Wiem, że nie hańbi, tylko zabija. O, tak jak zabiła Lernera. On wcale nie wyglądał na Żyda. Wieczorem wymykał się na miasto bez opaski i nikt nawet na niego nie spojrzał. Tak było i wtedy. Czerwiec, upał, a on wyszedł w palcie, bo się zbierało na deszcz. Więc zdjął płaszcz i nie zauważył, że ma na ramieniu marynarki opaskę z gwiazdą. Bagatela. I zaraz zielony wziął go pod ramię mocniej niż ukochaną dziewczynę. A potem była długa noc, a dzień zastał mnie jak zwykle przy bezsensownej robocie na Pełczyńskiej. Było nas trzydziestu — i wtedy przyprowadzili Lernera. Trochę chwiał się na nogach, a lewe oko miał zupełnie czarne. Przecież krew jest czerwona, więc skąd taka czarność? Kazali mu się rozebrać, a że nie szło to dość szybko, więc mu pomagali. Tak, człowiek kopany rusza się jakoś żwawiej. Chude ciało Lernera miało na sobie dużo sinych i czarnych plam. A potem kazali mu nałożyć opaskę, i związali ręce. A tłusty Horst powiedział cicho i łagodnie:

— Jetzt spielen wir mit dir so lange, bis die Armbünde ab wird...

I bawili się z nim. Dlaczego nie można tak szczelnie zamknąć uszu jak się zamyka oczy? Ten krzyk nie mógł chyba wychodzić z gardła człowieka! A potem ucichł. Słyszałem tylko klaskanie gumowych pałek o coś miękko-wilgotnego. Spojrzałem; zobaczyłem dużo czerwonego mięsa, o które ciągle jeszcze klaskały czerwone pałki. A potem przy robocie bolały mnie ręce — miałem na nich krew. Czy krew Lernera? Przecież stałem dość daleko. Samuel powiedział, że wtedy na placu gryzłem pięści. A ja nic o tym nie wiedziałem.

Cegły są ciężkie. Ale widocznie nie zanadto, skoro nosi je również sześcioletnia Iza. Trzeba zbudować tę ściankę i wtedy schron będzie doskonały. Zostawi się kilka luźnych cegieł, aby można było wejść do środka, potem się je założy i diabeł się nie domyśli, że tam siedzą Żydzi, skoro żadnego innego wejścia nie ma. Tylko nikt nie powinien o tym wiedzieć, tylko my. Bo inaczej... Trudno, każdy musi myśleć o sobie... Ale Stefa schowa się z nami. Ona... nosimy cegły ukradkiem, do tego zakamarka nikt nie zagląda. Tak, Stefa wejdzie też. Cegły są bardzo ciężkie, a ja ciągle myślę czy to jest miłość. Stefa ma bardzo białe ręce i wielkie, ciemne oczy. I tak się ładnie uśmiecha.

Wczoraj podsłuchałem jak Horst coś dużo mówił do Adlera. Nie wiem o czym rozmawiali, ale kilka razy padły słowa: Żydzi, akcja... To wystarczy, aby się mieć na baczności. Puściłem tę wiadomość dalej. I inni coś już wywąchali, bo wszyscy stali się jacyś zgorączkowani i nerwowi. Nasz mur płaczu już gotowy. Co to jest nadzieja? Położyć się w ciemnym kącie razem z nimi, wiedzieć, że dokoła czuwa gruby mur i że oni nie wejdą. Radość — bo Stefa też będzie choć na chwilę bezpieczna. Z radości serce bije głośniej niż ze strachu. Ale myślę, że tego łomotania serca poprzez mur nikt nie usłyszy.

Jest szary świt. Czas iść do roboty, wkrótce przed bramą ghetta ustawi się nasza partia robocza. Chyba pójdę. Oni mają przecież schron, a ja w swojej partii jestem chyba zabezpieczony, bo codziennie przychodzi po nas młody Hans.

Matka całuje mnie w czoło, przewieszam chlebak przez ramię i nagle daleka seria strzałów wypełnia naszą izbę strachem. Iza otwiera szeroko buzię, a ojciec wszczepia dłoń w moje ramię. Strzały świdrują świt i wtedy zdaje mi się, że przez te dziury w przestrzeni zaczyna przeciekać coraz wyraźniejszy i gwałtowniejszy tupot wielu uciekających nóg i niewyraźny hałas przerażonych głosów. Słyszy się te kroki i nie rozumie głosów. A właściwie rozumie się ich dojmującą wymowę strachu...

Ojciec rzuca się do ryglowania drzwi od ulicy i wskazuje nam ręką schron. Matka z Izą już wpełzają do środka. Wtedy odciągam ojca od rygla:

— Zostaw... Stefa... ona musi też...

Ojciec jest blady i szczęki mu latają nieprzytomnie. Bełkoce:

— Wariat! Nie ma miejsca w tej dziurze, nie można czekać...

I nie puszcza rygla. Jestem silny. Przemocą odrywam go od drzwi i wlokę do schronu. Broni się — coś mu błyska w dłoni: klucz! A więc zdołał zamknąć drzwi nie tylko na rygiel. Dyszę mu prosto w twarz:

— Oddaj klucz! Stefa...!

Nie odda. I wtedy wpijam mu zęby w zwartą pięść. Jęk i głośny dźwięk padającego klucza. A ojciec stoi blady pod ścianą i w milczeniu patrzy na mnie. Wskazuję mu dłonią schron — idzie z ociąganiem się.

Ze zgrzytem klucza miesza się bolesna myśl — dłoń, którą tyle razy całowałem, nosi dziś ślady moich zębów. Jestem bliski płaczu, ale nieurodzone jeszcze łzy ściera uśmiech Stefy, uśmiech, który stale noszę w sobie. Ja przecież nie... nowe strzały nie pozwalają mi myśleć. Otwieram bramę jak nieprzytomny. Przebiegające gromadki obłąkanych ludzi otrzeźwiają mnie natychmiast. Ulica na moment pustoszeje i wtedy porywam się, by biec po Stefę. I nagle zamieniam się w jeden ogromny ból i przerażenie. Zza węgła wybiega jakaś dziewczęca postać, prawie naga, w krótkiej, niebieskiej koszulce — rozwiane włosy palą się dokoła głowy złotym płomieniem, wyciągnięte ręce daremnie szukają obrony — białe wysmukłe ciało leci środkiem jezdni jakby w błękitnej chmurce, zbyt małej, by je osłonić... Stefa! Za nią ciężki tupot zielonego munduru i ostre ciosy strzałów. Jeden, drugi, czwarty... Mam w oczach pożar — rzucam się szaleńczo naprzód, po co? Byle prędzej wpaść pomiędzy nich i i... nic nie wiem... Stefa przebiega obok mnie, czuję rozpyloną w powietrzu woń jej potu, zderzam się piersiami ze ścigającym niemieckim zwierzęciem, cios pięścią w twarz odrzuca mnie wstecz i piorun wystrzału przygważdża do bruku.

* * *

Ten bok jeszcze mnie boli, choć już dwa miesiące dzieli mnie od tamtego dnia. A jednak żyję. I Stefa też. Staję się fatalistą i wierzę w możliwość szczęśliwego przypadku. Przecież tylu wtedy zginęło, a ja byłem nawleczony na kulę. A jednak żyję!

I piszę. Po co? Sam nie wiem, ale to jest silniejsze ode mnie. Tak bym chciał ocalić te świstki. Roi mi się plan powieści. Muszę ją kiedyś napisać. Będzie tam i miłość i wojna i ghetto, wszystko, co ja przeżywam i my wszyscy. Czytałem „Ziemię obiecaną" — (autora nie pamiętam), tam jest taki dziwny romans, ale u mnie byłoby inaczej. Matka Stefy nie była Żydówką i może po niej Stefa ma takie złote włosy. W mojej powieści romans będzie zupełnie inny, bo i powieść będzie inna. Całe przekleństwo naszej doli musi krzyczeć z jej kart. Tak, krzyczeć!

Czy my przeżyjemy tę wojnę? Jak to jest możliwe, że tylu ludzi daleko poza frontem pada codziennie od kuli, pałki i pięści? Dajcie nam karabiny i wtedy stańcie naprzeciw nas... A może rację ma malutka Iza, kiedy mówi, że Niemcy to nie są ludzie. Jakie to straszne, że małe dziecko musi wypowiadać właśnie taką prawdę!

* * *

Tak mi drżą ręce, że zaledwie mogę stawiać jakieś koślawe litery. Ale muszę pisać, aby znaleźć w sobie choć odrobinę sensu istnienia. Co ja napisałem? Sensu istnienia... Ale czy jest w tym istnieniu jakiś sens?

Do pracy nie wróciłem — na Pełczyńskiej zameldowano, że zginąłem. A teraz tym bardziej mi się wydaje, że już mnie nie ma między żyjącymi. Czy ci, którzy nie żyją, mogą cierpieć? Bo ja — cierpię, ale tego nie można wyrazić. Jest we mnie jeden wielki ból i z niego nie można się przebudzić. On będzie szedł za mną do końca.

To było tamtego tygodnia, we wtorek. Razem ze Stefą sprzedawaliśmy papierosy, niedaleko drutów. I wtedy zaczęła się ta strzelanina. Wpadliśmy do zawalonej piwnicy małego domku i przytuleni do siebie czekaliśmy na śmierć — czy teraz przyjdzie po nas? Dlaczego nie przyszła? Krzyki i strzały zagłuszały łomotanie naszych serc. Nigdy nie przypuszczałem, że serce może walić strachem w samym gardle. Stefa miała ręce zimne i wilgotne. Myślałem, że umarła, ale nie miałem sił, by wyrzec do niej choć jedno słowo.

Co robi teraz ojciec i matka? Powinni siedzieć w schronie. To było przynajmniej drobną iskierką w moich ciemnościach. Nie wiem, jak długo tuliła nas ta piwnica — godzinę czy pół życia. Długo, za długo na moją możność trwania. Rosnąca cisza wywlokła nas na ulicę. Przechodniów było bardzo mało. Zdawało mi się, że my dwoje tworzymy cały tłum, na który zaraz runą salwy strzałów. Ale dokoła przemykały się podobne do nas żydowskie cienie — resztki tępionego ghetta.

Stefa w milczeniu potrząsnęła moją dłonią i zniknęła w bocznej uliczce, a ja pobiegłem do domu. Cisza uderzyła we mnie straszniej niż wrzask i zgiełk popłochu. Kto milczy tutaj tak okropnie. Nikogo nie widać... Sąsiednie domki puste, przed bramą wielka kałuża krwi. Czy ten człowiek wylał tutaj wszystką swoją krew?

Nogi mam z bardzo ciężkiego kamienia. Idę na palcach przez bramę i staję w otwartych drzwiach naszego mieszkania. Cisza... Dlaczego Iza nie hałasuje jak zwykle?

I nagle to milczenie zwiewa ze mnie wszystko, co tu przyniosłem ze sobą. Tak jak dawniej... cicho... bo mama śpi... taka spracowana... nie budzić jej... zwolna opuszczam się na podłogę i siadam przy mamie. Mama leży wyciągnięta z ramieniem podkulonym pod głowę. Tak... niech śpi... cicho... biedna, taka zmęczona... Na oknie kwitnie coś czerwonego w doniczce. Dlaczego hoduje się w doniczkach takie płaty krwi? Cicho... takie płaty krwi! Myśl rozrasta się i trwa i nie chce ustąpić miejsca innej, wciąż ta sama i nieruchoma. Nieruchoma... jak mama! Porywam się z krzykiem. Co to? Czy to ja krzyczę tak okropnie? Cicho! Ale milczenie i ta cisza są jeszcze straszniejsze. Tak, teraz już wiem, co czuje człowiek, który dostaje pomieszania zmysłów. Czuje to, co ja w tej chwili. Porywam mamę za ramiona i patrzę jej w twarz białą, białą, białą... I mama patrzy na mnie — półotwarte jej oczy nieruchome, szkliste i głębokie patrzą poprzez mój ból i przerażenie gdzieś daleko, w przestrzeń... nie widzą mnie... nie widzą mnie!

Nalewam wody w szklankę, nie wiem po co, zapalam zapałki jedną po drugiej, przypominam sobie z uporem i trudem treść „Konrada Wallenroda" i powtarzam półgłosem, że cegły są bardzo ciężkie... Coś roztarło moje myśli na miałką i bezsensowną miazgę. A piersi coś mi tak gniecie, tak gniecie... Na białej ramie okiennej czytam wypisane chemicznym ołówkiem słowo „Stefa". I nie mogę zrozumieć, co to właściwie znaczy. Kto to jest Stefa? Ach, przypomnieć sobie, za wszelką cenę przypomnieć! Tak, już wiem... Przecież przed chwilą siedzieliśmy razem w piwnicy. Dlaczego nie umarliśmy wtedy razem?

Tak, może Stefa mnie teraz ocali. Wlokę się jak człowiek ciężko chory uliczkami, na których jest już wieczór. Stefa mieszka o parę minut drogi od nas. O, dlaczego to tak daleko?

To tu. Ona stoi pod bramą. Wiem już wszystko. Ma w oczach dwie wielkie łzy, które bolą więcej, niż całe morze płaczu. I milczy. Ujmuję jej zimne dłonie i wtedy mi się zdaje, że dotykam zmarłych rąk mamy. Jesteśmy tacy mali i samotni w tych bezmiarach trwającej i rosnącej w nieskończoność śmierci.

Noc uzupełnia nasze milczenie. Trzymamy się za ręce i siedzimy na progu mieszkania, gdzie pęcznieje pustka, cisza, przerażenie. Gdyby to było można tak teraz umrzeć i nie wiedzieć, nie widzieć, nie cierpieć...

* * *

Ten skok czuję jeszcze w kolanach, w brzuchu i w głowie. Skok z auta pędzącego przez nocne ulice Lwowa. Wszystko jedno co się stanie, byle już tego nie widzieć. Może nie wszystko jedno... tak, żyć, aby móc potem uderzyć w nich świętą pięścią zemsty, tak jak oni biją w nas pięścią przeklętą zbrodni.

Wracaliśmy późnym wieczorem z Łyczakowa i na rogu Piotra skoczyłem z auta. Strzały przeszły obok mnie. Momentalnie wdrapałem się na drucianą siatkę cerkiewki i buchnąłem w ogród. Przywarłszy do ziemi, pełznąłem między krzakami i staczałem się po pochyłości gruntu w stronę ulicy Pijarów. Przez wyłamaną deskę w parkanie wpełznąłem do następnego sadu i zaszyłem się w stos słomy i uschłych gałęzi. Przywarowałem jak spłoszony szczur. Słyszałem jeszcze strzały i wrzaski Niemców — daremne i bezsilne. Czułem się bezpieczny. Ucichło — pojechali. W tej chwili nie myślałem o tym, jak za moją ucieczkę zapłacą moi towarzysze. Napawałem się radosnym uczuciem bezpieczeństwa, przynajmniej chwilowego. Letnia noc biegła szybko. Było już szaro, gdy wylazłem z mej kryjówki i przedostałem się na cmentarz. Nie szukałem długo. Przez wybitą szybę wpełznąłem do kaplicy Pajączkowskich i przywarłem w kącie za stosem starych wieńców. Oparty o ścianę rozprostowałem nogi i zasnąłem. Późnym popołudniem przeskoczyłem przez murek cmentarny na Pohulankę i zapukałem do znajomej willi z prośbą o ratunek i schronienie. Przyjęto mnie bez słowa sprzeciwu. I teraz, zaszyty w kąt strychu zastawionego przeróżnymi gratami, przy świetle, padającym przez małą szybkę w dachu, piszę dalej te bolesne kartki.

* * *

Stefa nie wygląda zupełnie na Żydówkę. Ma złote włosy, mały nosek i okrągłą buzię, teraz żółtawą i bladą. Ma lat 15. Nikt na pewno nie będzie jej pytał o dokumenty. A do ghetta poszła razem z rodziną. Ale teraz, kiedy rodziny już nie ma...

A ja?

Staram się nie myśleć o sobie. Dam sobie radę. Ukryję się u kogoś, mam tylu dobrych znajomych. W nocy wydostaniemy się z ghetta i... Tymczasem schodzimy do piwnicy i siadamy w najciemniejszym kącie. Cisza. Gdy wyjdziemy... czy zobaczymy się jeszcze? Nie mówię tego, ale wiem, że Stefa myśli o tym

PAUL VALÉRY

NUTA SEMIRAMIDY

(Fragment starego poematu)

Od świtu was, promienie, skroń ma przywdziać myśli.
Zaledwie podniesiona, już śledzi zazdrośnie,
Jak na głazie bezwzględnym czas blady się kreśli,
Godzina ku mnie schodzi i do złota rośnie.

„Istniej! Bądź wreszcie sobą! mów jasne zorze,
Wielka duszo, czas nadszedł byś przywdziała ciało.
Pośpiesz dzień godny obrać co rozkwitnąć może,
Wśród tylu innych ogni, twą chwałą wspaniałą.

Już z mocą nocy walczą zajadłe puzony.
Żywa warga uderza w lodowatą przestrzeń.
Złoto czyste wybucha, wieżom powierzone,
Głosząc światu spełnienie wczorajszych obwieszczeń.

Wróć do prawdziwych spojrzeń! Wynijdź z twego mroku!
I jako pęd pływaka, gdy na oceanie
Stopa mocna go pędzi przez falę głęboką,
Uderz w głębinę bytu i przekrocz otchłanie!

Rozerwij nieodwłocznie nieprzemożne pęto!
Wyczerp czczego wysiłku bezdenność jałową
I wyzwól się nareszcie z dramatów zamętu,
Które płodzę w krwi twojej monstra twego chowu!

Śpieszę ze Wschodu służyć twojej samowoli!
Najczystszy z mych pokarmów twe żądze uprzedzi!
Niech się wiatrem i dalą głód twój zadowoli!
Przyjdź dopełnić świetności moich zapowiedzi!

Odpowiadam!... Powstaję z nicości bezdennej!
Me serce żegna zmarłych, których znałam śpiąca
I ku celowi, orzeł potęgą promienny,
Podążam!... Oto lecę na spotkanie słońca!

Z jedyną różą w ręku mknę... U boku lotna
Strzała. Ma głowa rodzi tysiączne figury.
Niosą mnie ku najmilszej z mych wież, gdzie zawrotna
Głąb mnie wzywa i dźwigam ramiona do góry.

Wstępuj, Semiramido, pani na spirali,
Której serce czci jeno łaknie, nie zamęścia!
W twym władczym oku żądza królestwa się pali,
Któremu berłem twardym dajesz zaznać szczęścia!

Waż się na przepaść!... Jeszcze jeden most różany...
Niebezpieczeństwo rośnie! Duma bardziej skrzy się!
Te mrówki — mnie należą! Ten gród — mnie poddany!
Te trakty — to wykresy mego widzimisię!

Krainę mą porównam do drapieżnej skóry!
Zabiłem w ową skórę przyodziane zwierzę!
Ale wciąż jeszcze nad nią jego swąd ponury
Wisi śmiercią ciężarny i stada mi strzeże!

Wreszcie otwieram słońcu tajniki mych wdzięków!
Nigdy nie lśniło jeszcze w tak ponętne progi,
Mej kruchości kosztuję uroków i lęków
Między ziemią i niebem stojąc na wpół-drogi.

Pokarmy mej potęgi, orgie nazbyt ścisłe,
Jakiż dziedziniec mglisty dachów i zalesień
Kładzie przed moje czyste i boskie zamysły
To spokojne oparcie o najwyższe z wzniesień!

przełożył **Artur Sandauer**

samym. Zmęczona pochyla głowę na moje ramię.

— Spróbuj zasnąć.

— Nie mogę... nic... nawet płakać...

Otaczam ją ramieniem i czuję jak jej bije serce. Jakżebym chciał ją ocalić! Chętnie przyjąłbym kulę w swe serce, byle tylko ona była wolna i bezpieczna. Zanurzam twarz w jej włosy i oddycham wonią jej smutku, bezradności i żalu. Z pustki, jaka we mnie pęcznieje, nie mogę wydobyć ani jednego krzepiącego słowa.

Ciemność zaczyna nas kołysać i usypiać. Odpływamy w niepamięć. Aż z odrętwienia budzą nas głośne kroki i jaskrawy błysk latarki wwierca się przez oślepione oczy aż do mózgu. Porywamy się na nogi — za późno. Straszne kopnięcie w jądra zwija mnie bólem na podłodze, jakieś silne ręce unoszą mnie w górę i wszystko zaczyna wirować mi w oczach: czuję poprzez spazmy tępego bólu, jak moja głowa uderza szybko i systematycznie o cegły ściany. Dziecięcy pisk Stefy przywołuje mnie do przytomności. Wypuszczony z morderczych rąk opieram się o ścianę i widzę... tylko te dwie łapy... jedna wplątała się w złote włosy, a druga... zimno i ciężko bije moją małą dziewczynę po twarzy... To każde uderzenie boli mnie tak straszliwie w podbrzuszu i w głowie... nie... i mnie przecież także... Skurczony w sobie nie mam sił nawet na wydobycie z siebie głosu. Dość, dość...

Zamknięta trumna auta podrzuca nas na wyboistych ulicach. Jedziemy długo. Wywlekają nas wreszcie w jakiejś wielkiej, ciemnej bramie wjazdowej i prowadzą schodami w dół do piwnic pobielonych wapnem i jasno oświetlonych elektrycznością. Skrzyp drzwi... i mocne kopnięcie wrzuca mnie do wnętrza małej komórki. Padam na jakieś leżące w głębi ciała, krzyk, ktoś mnie gwałtownie odpycha, bije, potrąca... zbieram się z podłogi i rozglądam po piwnicy: jest w niej kilkunastu Żydów, przeważnie młodych i wychudłych. Prawie wszyscy leżą na podłodze, niektórzy sini i okrwawieni. Skulam się w kącie i zamykam oczy.

Powracający ból w jądrach rozrasta się w okropną ranę obejmującą cały brzuch. Przygryzam język, aby nie wyć głośno. Na głowę walą mi się cegły tamtej piwnicy, a mózg świdruje przeraźliwy pisk Stefy. Nie wiem, czy oni znowu ją biją, czy też to tylko wspomnienie tamtego krzyku. Błogosławione omdlenie darzy mnie chwilową niepamięcią.

Potem pijemy jakąś lurę. Wszyscy zostają, a ja uderzany pięścią w żebra wlokę się korytarzem — dokąd?

Już. Wielka sala bez okien, jaskrawo oświetlona. Pod ścianą dwa tapczany przykryte kocami. I więcej nic. Staję w kącie i drżę na całym ciele. Co teraz będzie? Przynoszą mi pudło, dają w ręce nożyce i każą czekać. Czekam. Resztki dławiącego bólu mieszają się z gwałtownym biciem serca.

Otwierają się drzwi, wchodzi wysoki, chudy gestapowiec z rewolwerem w ręce, za nim pięć młodych kobiet, drugi Niemiec przysadkowaty z pejczem, na końcu ogromny pies. Kobiety zbijają się w gromadkę i obłędnym wzrokiem rzucają po sali. Pies przywarował u drzwi, nie spuszczając oczu z chudego draba. Przysadkowaty świsnął parę razy pejczem w powietrzu i wrzasnął:

— Rozebrać się!

Kobiety drgnęły, ale nie usłuchały. Wtedy chudy warknął:

— Na?

I spojrzał na psa. Ten podniósł się z warczeniem. Kobiety momentalnie poruszyły się i zaczęły zdejmować ze siebie poszarpane łachy. Po chwili stały drżące w krótkich strzępach koszul.

— Ailes aus!

Przymknąłem bolące oczy. Gdy je otwarłem, biedaczki stały nagie i tuliły się do siebie. Ale pejcz znowu świsnął razem z rozkazem:

— Biegiem dokoła sali!

Drżącymi i plątającymi się nogami poderwały się do biegu. Pies biegł obok i warczał. Przysadkowaty stał w środku i z rozmachem zacinał biegnące pejczem, smagając po łydkach, udach i pośladkach. Jęki i piski zagłuszało wycie psa, chudy raz po raz strzelał z rewolweru w sufit, pejcz z głośnym klaskaniem owijał się wokół nagich członków i wtedy wszystko zaczęło mi wirować w oczach: w sali powstała okropna plątanina zgrozy... nagie, przerażone śmiertelnie kobiety, świst pejcza, wrzaski boleści, huk wystrzałów, rozwiane włosy, wycie i warkot wściekłego psa, tupot bosych stóp, rozedrgane i podskakujące w morderczym biegu piersi i znowu wystrzały i świszczące oddechy pękających od wysiłku płuc i ciosy pejcza i nagie z krwawymi pręgami pośladki i rozdzierające krzyki i strzały... czułem, że włosy mi się jeżą na głowie, a w mózgu dojrzewa szaleństwo...

Wtedy jedna z kobiet upadła. Pies runął na nią i zatopił kły w udzie. Straszliwy wrzask bólu — kobieta porywa się na nogi i wlecze uczepionego u uda potwora. Pies odpada i szczeka głośno do wtóru nieludzkiemu śmiechowi niemieckich bydląt. I nagle okrzyk:

— Halt!

Kobiety wpadają na siebie, obejmują się ramionami i z jękiem dyszą poprzez straszliwe zmęczenie, ból i sączącą się z ciała krew. Chudy podchodzi z nieprzytomnym uśmiechem i jedną z nich, wysoką, smukłą brunetkę wlecze do tapczanu. Upadającą ze zmęczenia, niezdolną do jakiegokolwiek oporu, silnym pchnięciem rozciąga na kocu. I zaraz zwala się na swą tragiczną ofiarę. A tymczasem ten drugi zaczyna okładać pozostałe pejczem i wrzeszczy:

— No, patrzcie, patrzcie! Wy to lubicie... Żydówki są zmysłowe!

Chudy wstaje. Jego ofiara leży wyprężona, blada i nieruchoma, bez kropli krwi w twarzy. Popychają mnie do niej.

— Obciąć jej włosy.

Delikatnie zanurzam ręce w miękkiej fali. Jakie zimne czoło. Może ona już umarła? Ostre nożyce tną gładko, a moja drżąca dłoń gładzi lekko nieobecną świadomość męczeńskiego czoła ostatnim pożegnaniem... od nas wszystkich — od umęczonego, umierającego, ale nieśmiertelnego narodu.

Obcięte włosy spadają do pudła, a moje ręce, pchane dzikim rozkazem, sięgają do następnych głów. Pudło jest już pełne. I znowu kopnięcie. Porywam się pełen lęku.

— Na, jetzt du! Eine Frau für dich, aber schnell!

Mam w oczach krwawe płaty wściekłości i rozpaczy. Zaciskam w dłoni ostre nożyce i w tej chwili pies z dzikim warczeniem zwala mi się na piersi. Ostre świśnięcie pejcza rozcina mi twarz i ześlizguje się ciosem po mordzie zwierzęcia. Pies odskakuje ode mnie, porywam się na nogi... zgubiłem nożyce!!! Jak rozpalone żelazo skaczą po mnie wściekłe smagnięcia pejcza. Wyję i miotam się jak owad nadziany na szpilkę. A wtedy uwalnia mnie warczenie chudego:

— Lass ihn! Für ihn werd'n wir etwas Bessere haben...

Powlokłem się do mej komórki.

* * *

Dwa tygodnie bólu, nędzy i udręki. Co drugi, trzeci dzień auto pełne kobiet z obciętymi włosami jedzie „na piaski". Mężczyźni wyjeżdżają codziennie. Kilkakrotnie byłem w sali bez okien i zawsze rozgrywała się prawie ta sama scena: bieg nagich kobiet dokoła ścian, sadystyczna masakra bezbronnych łydek, ud i pośladków, wycie psa i strzały. Ale epilog bywał czasami inny: nasycone niemieckie zwierzę z rewolwerem w ręce nie wybierało żadnej ofiary dla swej żądzy. Żołdak ustawiał zdyszane kobiety twarzą do ściany i strzelał im tuż ponad głową, a równocześnie ze strzałem potężne smagnięcie pejczem rozcinało i okrwawiało nagie plecy. Ofiara ogłuszona waliła się nieprzytomna na podłogę i wtedy przychodziła kolej na następną. A ja... a ja obcinałem potem włosy i składałem je do pudła. Słyszałem, że oprawcy mieli materace i poduszki wypchane tymi włosami.

Dlaczego wtedy nie oszalałem, tego nie mogę w żaden sposób zrozumieć. Ból i rozpacz przywracały mi równowagę już na krawędzi chaosu. Żyłem i powoli zamieniałem się w bezmyślne zwierzę, zadowolone z tego, że jeszcze żyje i może żreć otrzymywane ochłapy.

* * *

Stefa... może to ciągła myśl o niej i wieczysta, bolesna troska broniły mnie od szaleństwa? Nie wiem. Żyłem. Pozwalano mi się od pewnego czasu wałęsać po korytarzu. Jako nadworny obcinacz włosów należałem niejako do personelu tej potwornej mordowni.

Wtedy zobaczyłem Stefę. Pochylona w kącie, szorowała podłogę. Nie poznałem jej w pierwszej chwili, tylko te włosy... długie i złociste...

— Stefa!

Już była przy mnie. Długo trzymaliśmy się za ręce bez jednego słowa. Oczami wypowiadaliśmy naszą nędzę i poniżenie, spojrzeniem mówiliśmy sobie te święte słowa, jakie nigdy nie miały paść z naszych ust. Zdyszanym milczeniem zwieraliśmy się ze sobą jak wieczystym, nierozerwalnym ślubem. Śmierć była przy nas i szalała z wściekłości, że jesteśmy od niej silniejsi.

Tak zaszedł nas przysadkowaty Willy. Miękkim ruchem zanurzył palce w złotych włosach Stefy, przechylił jej głowę do tyłu i rzekł do mnie z porozumiewawczym uśmiechem:

— Ładne włosy, co? Dziś wieczorem będziesz miał sposobność zabrać się do nich ze swymi nożycami, rozumiesz? Na?

Odszedł, a mnie... a ja... tak, więc to już koniec. Stefa nie rozumiała o co chodzi, ale jakoś dziwnie pobladła, widząc moją okropnie zmienioną twarz. Tak... koniec... Sto szalonych myśli zawyło mi w mózgu, myśli daremnych i nieskutecznych. Koniec! A wtedy wypełzła ta jedna i ostateczna. Gdy się nie uda... nie, nie, musi się udać!

— Stefa, zaczekaj chwilę na mnie, zaraz wrócę.

Pobiegłem do naszej celi. Tak, on leżał w kącie i rzucał się nieprzytomnie. Zbitego przywieziono go dopiero wczoraj i w nocy powiedział mi, że potrafi uprzedzić śmierć, gdy się do niego zbliży. Pokazywał... w kieszonce kamizelki... A śmierć nadeszła, nie do niego i ja go uprzedzę! Cicho opuściłem się obok niego na podłogę... jeśli się ocknie... tak, to go zaduszę. Jestem zimnym, bezlitosnym zwierzęciem, któremu łup ujść nie może. Wyczulone palce dotknęły papierek... jest... cofam się cicho, jak wąż... uchodzę...

Stefa czeka. Dlaczego ona czeka? Łudziłem się przecież bezsensownie, że tymczasem odejdzie... modliłem się o to, choć przecież, gdyby odeszła, nie... nie... dobrze, że czeka na mnie. Na mnie? Nie, czeka na...

— Masz tę pastylkę, ona cię doskonale orzeźwi... nie mam dla ciebie nic więcej...

Tak, mam dla ciebie kochana dziewczyno tylko to, tak mało i tak wiele zarazem. Coś, co cię wyzwoli... na zawsze... Wkładam jej tę drobinę w usta, gładzę po głowie i coś się nagle we mnie załamuje. Porywam ją w ramiona, przyciskam do huczącego serca i uciekam jak szalony.

W mej komórce rozkrwawiłem czoło o szorstkie cegły ściany.

I płakałem... nad sobą...

Do widzenia, Stefo, do widzenia... już chyba niedługo...

Wieczorem był znowu bieg śmiertelny nagich kobiet. Byłem jednak dziwnie spokojny i jakiś nieobecny temu, co się działo. Ból, jęk, krew, hańba i poniżenie, na jakie patrzyłem, były dla mnie takie dalekie...

Włosy ścinałem obojętnie jak trawę.

Co mi tam...

Stefy w tym nagim tłumie nie było. Słyszysz, ty idioto Willy, nie ma tu Stefy, nie widzisz jej ciała, nie możesz smagać do krwi jej nóg i białych, świętych pleców! Nie usłyszysz jej jęków bólu, ani krzyków przerażenia... Ona jest teraz wolna i silniejsza od wszystkich waszych dywizyj SS!

Nikt już jej nie dosięgnie.

Tylko moje marzenie płynąć będzie razem z nią przez nieskończoność, moja miłość i moja wieczna tęsknota.

Do widzenia, Stefo, mój złoty kwiatuszku.

Do widzenia...

* * *

Zdaje mi się, że wyrosłem ponad to wszystko, co się tu dzieje. W nocy rozmawiam z mamą, bawię się z Izą, pieszczę włosy Stefy. Gdy się rano podnoszę z zapluskwionego barłogu, długo wodzę dłonią po czole. Nie, przecież ja nie oszalałem. Rozumiem, co do mnie mówią, spełniam rozkazy ściśle i bez pomyłek, tylko cierpienie innych jakoś mniej mnie obchodzi. Czasem robię sobie nawet wyrzuty z tego powodu, ale zaraz przychodzi refleksja: przecież wycierpiałem już tyle, że chyba mam prawo do takiego spojrzenia z góry. Człowiek, który utonął, nie boi się deszczu. Nie wiem, czy ta myśl ma jakiś sens, ale sprawia mi ona żywe zadowolenie. Jeśli jednostka w moim położeniu może czynić takie uwagi — znaczy, że wyrosła już ponad śmierć.

* * *

A dzisiaj powrócił cały ból, rozpacz, bunt i wściekła żądza odwetu. Zapadłem znowu w dawne czasy szaleńczego miotania się, wściekłości, trwogi, bezradności.

Byłem na piaskach. N a p i a s k a c h ! ! !

Spokojnie, teraz za późno na żal. Chciałbym wypisać te słowa na olbrzymich płachtach papieru, na gigantycznych płótnach i rozwiesić je ponad całym światem, aby ludzkość odczytała je, padła na kolana i z jękiem posypała głowy pokutnym popiołem. Niech się te karty zmienią w wielką ścianę płaczu dla całej Europy, dla świata.

W i d z i a ł e m: ogromne doły-groby, rzędy nagich ludzi, słyszycie — l u d z i! I piorunowe salwy po obnażonych głowach, plecach, nogach! Krew, krew, krew... Strzelali — słuchajcie — l u d z i e w c z a r n y c h m u n d u r a c h — N i e m c y! Czytajcie: N i e m c y! N i e m c y! N i e m c y!

Widziałem: siwi starcy, których dni były już policzone, młodzieńcy o muskularnych ramionach, młodzieńcy naprężający się w przedśmiertnej chwili daremną erekcją, kobiety o brzuchach rozdętych ciążą, które zrodzą już tylko śmierć i zgniliznę, dziewczęta, których pęczniejące piersi i uda nie zaznają miłosnej pieszczoty... Widziałem, widziałem...

Słyszycie? Dlaczego nie słyszę waszego jęku, dlaczego nie widzę waszych krwawych czół?

W i d z i a ł e m: małe dzieci, słyszycie — d z i e c i! Widziałem małe dzieci z roztrzaskanymi głowinami i ciałkami przeciętymi salwą z karabinów maszynowych... całe stosy ludzkich kwiatów... tam, w dole...

Żyć, żyć, żyć i ujrzeć godzinę sprawiedliwego sądu.

Przypomniało mi się jakieś dziwne słowo — Bóg — — —

Ale nade mną była tylko p u s t k a, a dokoła mnie tylko z b r o d n i a.

* * *

A potem skoczyłem z auta.

Teraz piszę — dla kogo? Karty moje milczą, ale ty, Stefo, słyszysz bolesną wymowę ich oskarżenia. Ty słyszysz, bo śmierć nauczyła cię doskonale rozumieć potężną wymowę mojego milczenia.

Marek Roth

Do druku przygotował **Jan Tański**

MALARSTWO FRANCUSKIE

PAUL CEZANNE (1839—1906) **Gracze**

W poprzednim (79) numerze „Odrodzenia" z dnia 2 czerwca 1946: **St. A. Majewski:** Jakobinizm i jakobini. — Malarstwo polskie **(Zygmunt Waliszewski).** — **Jerzy Bober:** Ślepy tor. — **Tadeusz Kubiak:** Dziejopis. — **Jan Hłasko:** Układ sił politycznych w Palestynie. — Nagroda literacka „Odrodzenia". — Malarstwo francuskie **(Paul Cézanne).** — **Maria Jarochowska:** Argonauci. — **Tadeusz Breza:** Spotkania polskie w Paryżu. — **Tadeusz Peiper:** Omyłka? — W pracowniach pisarzy i uczonych **(Stanisław Bieńkowski, Helena Bobińska, Stefan Czarnocki, Róża Czekańska-Heymanowa, Tadeusz Fangrat, Ludwik Fleck, Józef Gajek, Marian Gött, Stefan Grzybowski, Stanisław Guzicki, Laura Kaufman, Wacław Leśniański, Leopold Lewin, Jadwiga Marszewska-Ziemięcka, Ryszard Matuszewski, Tadeusz Miłobędzki, Irena Pannenkowa, Jerzy Remer, Antoni Sabatowski, Przecław Smolik, Irena Szczepańska, Ludwik Zembrzuski).** — Korespondencja **(Alina Świderska).** — **Stefan Papée:** Szlachetny inspirator. — **Wacław Kubacki:** Igraszki wydawnicze. — **zb:** Przegląd prasy. — **Zdzisław Libera:** Ludzie śród ludzi. — **Wacław Kubacki:** Rozmowy z dr. Protem Sowizdrzałem. — **js:** Polska współczesna: Węgiel kamienny. — **Stefan Flukowski:** „Sen nocy letniej" w Toruniu. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — 3 ilustracje. — 12 stron.

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

JÓZEF SIERADZKI

Ostatnie porachunki Cata-Mackiewicza

„Byłem zwolennikiem monarchistycznego rozwiązania kwestii ustroju Polski" deklaruje Stanisław Mackiewicz (Cat) *), do września plenipotent kresowej magnaterii w wileńskim dzienniku „Słowo", od września wychodźca i jeden z aktorów polskiej emigracji w Anglii. Gdy jako konserwatysta i ultramontanin z poglądów a niespokojny, burzliwy nowator z usposobienia, królował na fotelu redakcyjnym w lokalu przy ulicy Zamkowej, niedaleko kurii arcybiskupiej, za witryną pomalowaną na błękitny kolor, z nieodstępnym browningiem w półotwartej szufladzie biurka, używając kopert z rysunkiem żubra — nie miał żadnego związku z Polską prostych ludzi. Szlachetka, nieuleczalnie chory na snobizm obcowania z resztkami feudałów w Polsce, książętami, hrabiami i dobrze urodzoną szlachtą, galwanizował swym talentem wyjałowioną societę i gentry, a głosu swego używał i nadużywał przeciwko interesom ludu. Dziś utracił resztę łączności z krajem i narodem i poszukawszy bezpiecznego schronienia za Kanałem, nikomu niepotrzebny, wszystkiemu obcy, wzorem Sicińskich i Suchorzewskich teatralnie zgłasza swoje „veto!"

Z wojażu do ZSRR przywiózł swą diagnozę o „Myśli w obcęgach". W istocie rzeczy miał ją gotową z dawna, z sal nieświeskiego pałacu i zobowiązań finansowych wobec swych dysponentów, możnych ordynatów w Nowogródczyźnie i na Wołyniu. Rewolucja rosyjska napawała go grozą i wstrętem. „Koleje były przepełnione, a roztrzęsione wagony pasażerskie z powybijanymi oknami i niezliczone wagony towarowe oblepione mazią żołdactwa, które piło, mordowało, pluło, śmierdziało i wykrzykiwało o wolności i rewolucji". Zdaniem rojalisty „naród ten ogarnęła epilepsja bezrozumu i furii. Wieś, śniegi i lasy rosyjskie oświecały pożary".

Syn szlachecki zląkł się i nic więcej nie dostrzegł w przewrocie, który wstrząsnął światem. Razem z osławionym przywódcą czarnosecinnego „Sojuza Ruskawo Naroda", Puryszkiewiczem, też monarchistą, zawodził wielkim głosem: „Wszystko się pomieszało, konie, kurwy, z czerwonym sztandarem pcha się naprzód ogłupiały lud".

Opłacany wróg „paskudztwa rosyjskiej rewolucji", malował jej apokaliptyczny obraz, ale dla carów żywił sentyment. Z rozczuleniem wspomina Aleksandra II, a Mikołaja II, Krwawego, sławi jako lojalnego i rycerskiego sprzymierzeńca Francji i Anglii. „Gdyby, gdy zjechał jeszcze w roku 1896 do Warszawy, kazał zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła", gdyby obiecał restaurację państwa polskiego, może by istotnie zbudował imperium słowiańskie...". Przedostatni dynasta z rodziny Romanowów, Aleksander III, choć nie grzeszył zbytkiem inteligencji, miał w jego oczach duże poczucie odpowiedzialności, był nabożny, prawy, szlachetny, słowianofil. Z „rodzimych" bohaterów unosi się Mackiewicz nad Jeremim Wiśniowieckim („był wielkim wodzem i politykiem"), z niedawnej przeszłości nad Walerym Sławkiem. Chociaż Sławek nie pochodził, jak głosiła plotka, z rodziny książąt Czetwertyńskich, miał niewątpliwą dla Cata zaletę: „mówił czasem o sobie, że chciałby być wojewodą kijowskim".

Historiozofia i polityczna teoria polskiego Dauneta była więc całkiem prymitywna a jego publicystyka była dymną zasłoną dla grubych, wulgarnych celów magnaterii i ziemiaństwa. Gdy „wybuchła Polska" a plany wileńskich „kataryniarzy" (od pomnika wzniesionego carycy w zieleńcu na wprost katedry wileńskiej), na zawsze pogrzebane przez „pchające się naprzód ludy", mogły wypływać tylko jak senne marzenia o dobrych, dawnych czasach — trzeba było ratować doczesne resztki w „wolnej Polsce". Samej zaś Polsce należało dać ideową oprawę, wytyczyć historyczną rację i polityczny cel. Więc: „byliśmy wałem ochronnym Europy przed bolszewikami", bastionem zachodu, przedmurzem, po staremu „antemuraculum Christianitatis". Tu zaczynała się cała dawna Polska, Polska Dzikich Pól Sienkiewicza, Żółkiewskiego, Sobieskiego, „wszystkiego co było wielkie".

Lecz za tym patosem i frazeologiczną ornamentyką kryła się treść bardzo realistyczna. „Zamek w Nieświeżu ze swymi świecami zamiast lamp, z ogromnymi salami bez mebli, gdyż meble porozkradali bolszewicy przy końcu wielkiej wojny, z salonami strojnymi tylko w trofea myśliwskie, rogi łosie i jelenie, w niezwykłą ilość zbroi (wszystkiego było w Nieświeżu przeszło 2 tysiące kompletów zbroi rycerskich), w kilkaset portretów radziwiłłowskich, w pasy słuckie porozwieszane pomiędzy zbrojami lub portretami na ścianach — nadawał się istotnie na teatrum reakcji polskiej". Przyświadcza to junacko sam Mackiewicz, a ironia, którą się posługuje, w niczym nie zmienia stanu rzeczy. Z tego zamku nie można było tuż za miedzą widzieć nic innego jak kraj, „który bolszewizm pogrążył w nieprawdopodobnej nędzy, tak wielkiej nędzy, że Europejczyk z zachodu ani jej sobie nie może wyobrazić, ani uwierzyć w nią nie jest w stanie".

Głos Mackiewicza mógł zwodzić wielu Europejczyków „z Zachodu" i z Polski. Ale gdy z tej „nędzy" wyszły niezliczone pułki, wypłynęły potoki gąsienicowych czołgów, w tym czołgi najlepszego typu, flotylle samolotów, wyrosła żywiołowa technika i znakomita strategia, a przede wszystkim organizacja woli i świadomości, gdy ZSRR, stanąwszy wobec zadań wielokrotnie trudniejszych niż Rosja carska w 1914 roku, potrafił zmobilizować wszystkie siły ludzkie i resursy gospodarcze do walki na śmierć i życie — i osiągnąć zwycięstwo, wtedy po zbałamuconych propagandą Mackiewiczów, Istratich i Gide'ów powiało zdumieniem. Monarchia sławiona przez Mackiewicza nie była więc najwidoczniej „częścią religii chłopa rosyjskiego", likwidacja zgniłej monarchii nie spowodowała w umyśle chłopa „zaburzeń, podobnych otwieraniu się otchłani zwiastującej koniec świata".

W historycznej próbie monarchia rosyjska okazała się próchnem, a zrewolucjonizowane narody — potęgą. Socjalizm rosyjski, zniesławiany przez ziemiańskiego „myśliciela" za „głęboko antypaństwowy charakter", dokonał dzieła, dla którego cały świat żywi szacunek i podziw. Gdzie maluczki obrońca wielkiej własności ziemskiej widział „maź żołdactwa" i „epilepsję rozumu", rósł nowy ład i siła rozstrzygająca o przyszłości.

Oceny Stanisława Mackiewicza upadają przy lada dotknięciu, podobnie jak w przepaść runął cały jego świat. Na próżno szukałby ktoś u niego aktualnej myśli politycznej, wszystko bowiem jest przebrzmiałe i trąci epigonizmem. Doskonałym wyrazem tego nastroju jest rzewne — dla Mackiewicza — wspomnienie o hr. Zamoyskim, który w Nieświeżu, odległym wtedy o 8 kilometrów od granicy ZSRR, skarżył się Piłsudskiemu:

— „A Słuck nie należy do Polski, Panie Naczelniku!"

Nawet inwencja opuściła błyskotliwego niegdyś dziennikarza, który usiłuje żyć z odsetek od dawnego kapitału. Dorzuca do nich tylko garść anegdot i trochę „niedyskrecyj" o wartości trudnej do skontrolowania ze stanowiska autentyczności i prawdy. Daje też charakterystyki aktorów rodzimego dramatu w latach 1918—1939.

„W historii politycznej Polski nigdy nie grałem jakiejkolwiek roli, nigdy nie byłem na scenie, ale często siedziałem w pierwszym rzędzie, obserwowałem spektakl dokładnie, a czasami udawało mi się na chwilę zabrnąć za kulisy, zerknąć na to lub owo, dojrzeć szminkowanie i kostiumowanie".

W spektaklu tym roi się od marionetek.

Więc jeden z pierwszych na niedobrym weselu, Edward Śmigły-Rydz. Teraz przypomina się Mackiewiczowi, że ów autor jedynego dzieła, wydanego pod szumnym tytułem „Iżbyście o sławie nie zapomnieli", onego czasu zgłaszał się do Wehrmachtu, „lecz go tam Niemcy nie przyjęli, a potem złożył był przysięgę na wierność Radzie Regencyjnej". Mackiewicz — rzecz dla niego charakterystyczna — pluje nie tylko na grób niefortunnego marszałka, ale i w jego kołyskę: „Pochodzenie jego jest dość mętne, według pewnych wersyj ma on być synem żandarma czeskiego i Ukrainki, **w każdym razie jest to dziecko ludu**, które zawdzięczamy Brzeżanom". Adherent Sieniawskich na brzeżańskim zamku krzywym okiem spogląda na pospólstwo. Sam oskarżyciel Śmigłego-Rydza, który był gotów wstąpić do „Wehrmachtu", współpracownik, przyjaciel i wielbiciel Władysława Studnickiego, pod niebiosa wynosi Beselera. „Beseler, człowiek charakteru zacnego, głęboko wykształcony, do Polaków usposobiony jak najlepiej". Lecz, wracając do Rydza, był to człowiek mały, próżny i pusty. Umiał „chranit' mołczanije w ważnom sporie, s uczonym widom znatoka". A jako wojskowy „wydawał rozkazy wprost humorystyczne".

Majtek z załogi zatopionego statku, nie przepuszcza jego kapitanom i sternikom. Ignacemu Mościckiemu, który okazał się sprytny — wiele polował, dużo wydawał na cele osobiste i utrzymywał park wystawnych limuzyn. Galerii premierów, Januszowi Jędrzejewiczowi, „typowemu półinteligentowi", z ambicjami reformatora, Felicjanowi Składkowskiemu, „komendanta Piłsudskiego wachmistrzowi Soroce" („nazwałem go Piotrem Wielkim w klozetowej skali"), który jeszcze w tragicznym odwrocie z Polski spisywał protokoły za niechlujnie utrzymane śmietniki. Jeden Leon Kozłowski ujmuje Cata inteligencją i — brakiem charakteru. Sympatyczny premier posiadał sekret głośnego śmiechu, „który na ulicy straszył nerwowe panie i konie". Nic to, że po pijanemu bratał się z ambasadorem Hitlera von Moltke i był twórcą Berezy.

A Kartuska Bereza była niezgorszym prototypem „kacetów" (koncentracyjnych obozów), którymi w kilka lat później Niemcy usiali okupowane ziemie polskie. Dajmy głos w tej materii koronnemu świadkowi, bo Mackiewicz spędził kilka tygodni w Berezie, z łaski, zdaje się, ministra Becka.

„Główna tortura w Berezie polegała na odmawianiu człowiekowi prawa stolca... Z niewypróżnionymi brzuchami kazano przez siedem godzin robić ludziom „gimnastykę", tj. stosowano torturę, kazano w pozycji głębokiego przysiadu z rękami do góry pozostawać 7 godzin bez przerwy i w ten sposób chodzić, biegać, wchodzić i schodzić ze schodów. Bito przy tym straszliwie, zwłaszcza jeśli czyjś żołądek nie wytrzymał".

Tak robili wyznawcy zachodnich tradycyj kulturalnych i humanizmu. Ale myliłby się, kto przypuszcza, że Mackiewicz potępia tę hańbę. „Osobiście nie byłem bity i jestem bardzo daleki od uważania Berezy za najbardziej zasadniczy punkt oskarżenia przeciw Rydzowi i Sławojowi". Cat był przeciwny zsyłaniu do karnego obozu narodowców z ONRu i falangistów Piaseckiego, natomiast uważał go za naturalne miejsce dla lokowania komunistów. Mało tego. Ci, którzy przeszli do komunistycznej organizacji, „zasługiwali czasem na rozstrzelanie". I taki kocioł przygania garnkowi: „Kostek-Biernacki był chorobliwym sadystą".

Sukcesorem Piłsudskiego miał zostać Walery Sławek, a Śmigły-Rydz miał być odsunięty od wszelkiej polityki. „Piłsudski powiedział kiedyś Mościckiemu, że gdy będzie czuł się zmęczony, niech ustąpi prezydenturę Sławkowi". Ale Mościcki zasmakował we władzy i nie odczuwał zmęczenia. „Przyczyny samobójstwa Sławka są jasne, Piłsudski zlecił mu, aby został prezydentem, — on zaś nie umiał tego wykonać. Naokoło widział czarne chmury nad Polską. Czuł się jak wierny pies, który nie potrafił spełnić swego obowiązku".

Zaczynają się „rewelacje":

„Bronisław Pieracki, minister spraw wewnętrznych został zabity przez Ukraińców, ale podejrzewam, że z dopuszczenia jakichś organów naszej własnej policji".

Piłsudski myślał o koronie. Może nie dla siebie, ale dla córki Wandy. Była nawet propozycja od cesarzowej-wdowy Zyty, aby Wanda poślubiła któregoś z arcyksiążąt, jednego z synów Zyty i cesarza Karola. Piłsudski dał wymijającą odpowiedź, ale nie odmowną.

Są również wspomnienia autobiograficzne:

„Dnia 13 maja Piłsudski wezwał mnie do siebie i proponował, abym zorganizował komitet, który podejmie się rokować z rządem. Oświadczyłem, że propozycja ta jest ponad moje siły i zaproponowałem mu, że przywiozę ks. Lubomirskiego i p. Aleksandra Meysztowicza, których istotnie przywiozłem, ale starania tych panów o stworzenie komitetu pojednania z biskupami na czele, nie udały się. Jako pośrednik wyjechał wieczorem tego dnia do Belwederu gen. Żeligowski".

Mowa naturalnie o zamachu majowym 1926 roku. „W czasie rozmowy ze mną Piłsudski siedział za stołem w jednym z pokojów dworca kolejowego na Pradze. Miał na sobie mundur marszałkowski. Jego twarz była zawsze zmienna, zależnie od dnia. W tym dniu wyglądał młodo i świeżo. Na stole leżała w błyszczącej pochwie szabla, która go oddzielała". Mackiewicz znalazł się sam na scenie. Później jeszcze, w okresie Nieświeża, odgrywał rolę maklera. „Opowiedzenie się (ziemiaństwa) po stronie Piłsudskiego było moim pomysłem, lecz znalazłem gorące poparcie i u ks. Sapiehy i u A. Meysztowicza („Kataryniarza!"), prezesa naszego komitetu redakcyjnego".

Piłsudskiego stylizuje Mackiewicz na restauratora monarchistycznej idei. „Panicz z Zułowa" — było to określenie delikatne, aksamitne, rzewne... „Z talentu była to niewątpliwie najbogatsza indywidualność, jaką od Piasta i Lecha, od Gedymina i Gedyminowiczów wydała szlachta polska". Dyktator anachronizmu, jak go nazwał hr. Sforza, budził nadzieje Lubomirskich i Radziwiłłów. „Zobaczysz — mawiał do zaufanych — Wilno będzie jeszcze kiedyś stolicą Europy". Plany wschodnie Piłsudskiego zdawały się przywracać realną treść marzeniom ordynatów i posesjonatów o powrocie na Mińszczyznę i do włości podolskich, na obszary, gdzie — jak sam Mackiewicz stwierdza — nie byliśmy nigdy narodem chłopów czy robotników kopalnianych, lecz narodem panów. Białorusini do ostatniej chwili stanowili „tylko materiał etnograficzny i nic więcej", a na początku XX wieku nie tylko w Mińsku Litewskim, ale i w Kijowie rozbrzmiewa język polski. Tu zaś, „Panie Naczelniku, nawet Słuck nie należy do Polski". I ma przepaść na zawsze ziemia obiecana Korwin-Milewskich, Koziełł-Poklewskich, Hutten-Czapskich, Tyszkiewiczów, Sanguszków, Chomińskich. Pałace i syte dwory, gdzie pachniało pieczonym chlebem i kminkiem, a z pól, w lipcowy skwarny dzień, lekki chłodzący wietrzyk niósł echo pieśni, śpiewanych przez pracowitych chłopów i żwawe żniwiarki, zajęte na pańskich łanach. „Moi dziadkowie i pradziadkowie spoczywają na cmentarzach koło puszczy bersztańskiej, w sercu terytoriów między Wilnem a Kownem". Jeżeli niełaskawe losy zrządziły, że nie można było przedłużyć tej społecznej sielanki przy pomocy „rycerskiego" Mikołaja II, z winy obrzydliwej rewolucji i bolszewików, — to może owinąć się jak bluszcz dokoła Józefa Piłsudskiego, wznowiciela przeszłości, „Konrada Wallenroda socjalizmu polskiego". Spróbować wstrzymać koło historii i zawrócić oszalałe ludy, pchające się naprzód, ogłupiałe, bezrozumne, wykrzykujące o wolności i rewolucji. Ostatni raz widzieć wielką Polskę w sienkiewiczowskiej glorii.

„Byłem więc zwolennikiem monarchicznego rozwiązania kwestii ustroju Polski".

Zniesiony przez prąd historii, Stanisław Mackiewicz to archeologiczny zabytek, śmieszny maniak, kapryśny epigon. Tylko chwilami włącza się w nurt, by jeszcze głębiej pogrążyć sprawę, której broni. Jego drugim bohaterem, tuż po Piłsudskim jest — Roman Dmowski, „król naszych pojęć".

„To właśnie Dmowski podczas wojny dość miękko stawiał sprawę naszej granicy wschodniej, w okresie kiedy się jeszcze liczył ze zwycięstwem Rosji" — wymyka się nagle Mackiewiczowi. Warto też przypomnieć, również za Mackiewiczem, że wśród endecji były głosy za ustąpieniem Rosji Galicji wschodniej, w zamian za Śląsk i Pomorze. „Nasze granice zachodnie zawdzięczamy Dmowskiemu", „wygranie przez Polskę granic zachodnich stanowi historyczną zasługę Dmowskiego". Przyjmijmy na chwilę, że tak było w roku 1918, że powrót części Śląska i skrawka Pomorza z wyżebranym dostępem do Bałtyku i szpuntem gdańskim w samym gardle Wisły, enklawą niemiecką w Prusiech, szponami wbitymi z obu stron w „korytarz" i setkami tysięcy Polaków na zachodnich ziemiach Śląska i Lubusza poza granicą Polski, — że wszystko to było zasługą Dmowskiego. Jakiż więc tytuł do sławy, jakie miejsce w historii Polski mają ci, którzy swym wysiłkiem i ofiarą sprawili, że zachodnia granica Polski kąpie się w Odrze, a na północy brzeg Bałtyku na długości 500 kilometrów należy do nas! Że Szczecin, Kołobrzeg, Gdańsk, Wrocław, Legnica, Opole — wróciły. Że jesteśmy właścicielami 75 miliardów ton węgla kamiennego. Że Niemcy stracili dwie śmiertelnie groźne dla nas bazy wypadowe: na północy Prusy, na południu Śląsk. Jak docenić tych patriotów, co dowiedli spiżowej racji swej zasady, że rewolucja społeczna, którą wyznają, rozwiąże na Śląsku i Pomorzu sprawę narodową, co osiągnęli dla narodu korzyści, których żadna inna koncepcja nie mogła obiecywać ani tym mniej realizować. Jakimi pomnożycielami Polski są żołnierze Kościuszkowskiej Dywizji i ci wszyscy, dzięki którym naród ma dziś wypowiedzieć swe „tak!" i przed całym światem potwierdzić swą wolę utrzymania po wieczne czasy granicy na Odrze, Nysie i Bałtyku.

„Wykazywałem — pisze pełen melancholii i świadomy przegranej, wygnaniec z własnej woli Stanisław Mackiewicz, w swej pełnej dowolności i na wskroś tendencyjnej historii ponurego okresu 1918—1939 — wszystkie nasze błędy, wady, nie pudrowałem żenujących ran, wskazywałem winnych".

Nie, nie wszystkie błędy i nie wszystkie wady. Ani słowa tam nie ma o fikcyjnych założeniach mocarstwowości, urojonych podstawach potęgi. O prawdzie rzeczy, która tkwiła poza frazesem o suwerenności: o wspólnotach interesów i trustach rekinów światowego przemysłu, dla których górnicy ślepli pod ziemią i o ziemiańskich interesach, dla których chłopi dzielili zapałkę na czworo i po kilkakroć gotowali ziemniaki w raz solonej, solą bydlęcą, wodzie. Ani słowa o bastionie zachodniej Europy nad Wisłą, wprzężonym w jarzmo eksploatacji w okresie niepewnego pokoju i mającym dać armatnie mięso w przygotowywanej wojnie. Przeciwnie, jest apologia i apoteoza winy, wraz z bezradnym hamletyzmem, co robić w tragicznym dylemacie między Niemcami, z którymi nie wolno było się porozumiewać, a Rosją, z którą nie chciano się porozumieć, gdzie widzieć wroga i w kim znaleźć sprzymierzeńca w godzinie próby.

Gdy ona nadeszła, udziałem Polski Mackiewicza stała się klęska. Żołnierze na Rossie wystrzelali swój skąpy zapas nabojów. „Potem uklękliśmy i płakali". Potem jeszcze leżeli w bramach domów wileńskich, ze znamieniem klęski na bladych twarzach. Oficerowie grupami uchodzili na Łotwę i Litwę, złorzecząc głośno dowództwu. Podoficerowie przeklinali oficerów. Radzieckie ciężarówki zbierały po drogach rannych i wycieńczonych żołnierzy polskich i zwoziły ich do Wilna, gdzie karmiono głodnych. Prysł mit o potędze.

W ziemiańskim „Słowie" z początkiem września można było czytać inserat: „Ochotnik prosi o bluzę, pas i furażerkę". W magazynach wojskowych nie było mundurów, butów, broni, szarpi i lekarstw. Stanisław Mackiewicz chyłkiem umykał, wraz z wojewodami i członkami rządu — na Zachód.

Tam, skąd dla niego nie ma powrotu. Bo Polska bez majątków ziemiańskich, karmazynów i szamerunków nie ma dla niego smaku ani czaru, odpadły ramy „wspaniałej harmonii antycznej"; rasowy kawalerzysta, rotmistrz Plisowski, zabijaka spod lekkiego znaku Kmicica, nie pójdzie więcej ze szwadronem kawalerii staczać potyczki niemal w każdej wiosce.

Filip II, ponury absolutysta hiszpański, wolał kiedyś nie mieć poddanych, niż mieć wśród nich heretyków. Przez to ten ograniczony Habsburg stracił Niderlandy.

A cóż Mackiewiczowi po Polsce kopalnianych robotników i chłopów?

Józef Sieradzki

*) Stanisław Mackiewicz (Cat). Historia Polski od 11 listopada 1918 roku do 17 września 1939 roku. London, M. J. Kolin, 1941.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Theodore Dreiser — czołowy pisarz Ameryki

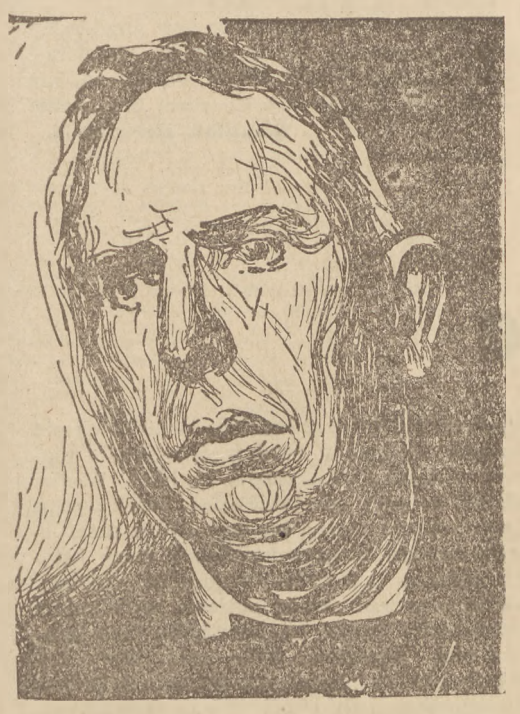

rys. Z. Umińska

Theodore Dreiser

W niedługim okresie swego istnienia dwu razy zrywała się literatura amerykańska do zmagań tytanicznych z losem i życiem, próbując nadać im kierunek godny wielkich sił, które wypełniają organizm młodego narodu za Oceanem. W latach 1840—1860, uporawszy się z pierwszymi trudnościami politycznymi, ustrojowymi, terytorialnymi i gospodarczymi, kiedy wysiłki Washingtona, Jeffersona i energicznego Jacksona położyły podwaliny pod trwałą egzystencję federacji, doszli do głosu przedstawiciele nowej Anglii, jej intelektualizmu z Bostonu i Harvardu. Ralph Waldo Emerson rzucił wtedy prometejskie hasło: Przywiążmy rydwan nasz do gwiazd! Hitch your wagon to a star! Wtórował mu Thoreau z leśnej głuszy, głosząc wyższość woli ponad dobra świata, przyświadczał Nathaniel Hawthorne, walczący z przesądami wiary i purytanizmem Biblii, stawał do szeregu Herman Melville, żeglarz oceanów, wzgardliwy obserwator wszelkiej przyziemności, symbol walki z żywiołami. Znaczenia, wyrazu wszystkim poczynaniom tego wielkiego zrywu duchowego dodał gigantyczny w swym rozpędzie Whitman, ogłaszając w 1855 pierwsze karty swoich „Leaves of Grass".

To był złoty okres literatury amerykańskiej, w którego blasku dokonywała się konsolidacja Wschodu i Zachodu, zaludniał się Wild West, rosło potężne ognisko nowej cywilizacji, różniące się zasadniczo od kultury europejskiej. To, co europejskiego tkwiło w Ameryce w kilku stanach południowych wokół Wirginii i Karoliny, to miało w latach wojny secesyjnej, w roku 1861—64, ulec gruntownej zagładzie. Wolnościowa, antyniewolnicza, antyfeudalna, demokratyczna ideologia literatury okresu emersonowsko-whitmanowskiego wyhodowała siły, które przyczyniły się do zlikwidowania reakcji społecznej i politycznej Południa. Abraham Lincoln wykonał testament Północy, zrealizował postulaty Bostonu i Harvardu.

Po straszliwym upuście krwi w bitwach pod Vicksburgh i pod Gettysburg, po opanowaniu Południa przez Północ, dokonanym zresztą bardzo brutalnie, rozpoczęło się intensywne przetasowywanie warstw cywilizacyjnych w Stanach Zjednoczonych. Państwo przeradzało się z rolniczego w przemysłowe, społeczeństwo z wiejskiego w urbanistyczne, przemysł z rzemieślniczego przekształcał się w kapitalistyczny. Dziwny brak wybitnych mężów stanu w okresie od zakończenia wojny domowej do rozpoczęcia wojny hiszpańskiej w roku 1898 zaznaczył się w piśmiennictwie wyraźnym zastojem. Zachwyty szerokich mas dla „Małego lorda Fauntleroy'a" Franciszki Burnett, dla „Ben Hura" Lewisa Wallace'a dla powieści nieśmiałego realisty, Williama Deana Howellsa, nie mogą rozwiać złudzenia, że czterdziestolecie, 1860—1900, jest wyraźnym cofnięciem się i upadkiem literatury za Oceanem.

Zasługą kilku wybitnych ludzi piszących po zwycięstwie odniesionym w wojnie amerykańsko-hiszpańskiej jest dźwignięcie się z tego marazmu i nadanie myśli amerykańskiej nowej, żywotnej siły. Kampanię przeciw bezduszności, drobnomieszczańskiej hipokryzji, przerostom systemu kapitalistycznego zaczęli Stephen Crane, Frank Norris i Ambrose Bierce. Hasło ataku podchwycili i szturm przeciwko niezdrowym objawom cywilizacji amerykańskiej XX wieku poprowadzili Upton Sinclair, Sinclair Lewis, Sherwood Anderson, James Branch Cabell i, jako jeden z najbardziej zdecydowanych, zmarły w grudniu 1945 roku, Theodore Dreiser. Ta plejada pisarzy amerykańskich to drugi złoty okres literatury amerykańskiej, zwłaszcza jeśli dodamy do nich długi szereg poetów, którzy od roku 1912 przyłączyli się do awangardy bojowników-prozatorów. Robinson, Sandbug, Lindsay, Frost, Masters kontynuują linię rozwojową Walta Whitmana.

Pośród prozaików Upton Sinclair, zdecydowany socjalista, idzie trop w trop za koncernami i trustami z epoki Theodora Roosevelta i piętnuje ich oszukańcze nadużycia w prasie, wytwórczości, monopolach. Nafta, węgiel, fabryki konserw, giełda, są przedmiotem jego uderzeń w miliarderów i milionerów amerykańskich. Sinclair Lewis demaskuje ubóstwo duchowe życia amerykańskiego, jego standaryzację umysłową, materializm, pustkę duchową, wyzysk w świecie lekarskim i obłudę w kołach sekt i wyznań. Anderson wypowiedział wojnę pruderii i zakłamaniu seksualnemu, Branch Cabell nudnej prozie życia codziennego.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Dreiser wytoczył przeciw swym współczesnym najcięższe działa i że w radykalizmie swym posunął się najdalej ze wszystkich. Pogrążony od młodości w lekturze Herberta Spencera, Darwina i Nietzschego, wkroczył już w ośmioletniej swej dziennikarskiej działalności na drogę materializmu dziejowego i determinizmu. Wyszedłszy ze środowiska Indiany, z rodziny poniemieckiej, przesadnie katolickiej, rwał się do samodzielności i szerokiego świata, który by pozwolił wyżywać się jego gwałtownej naturze. Sam mówi o sobie: „Pod względem duchowym byłem czymś, co by nazwać można typem melancholika poetyckiego, wyposażonego w intensywną chęć używania doczesnego. Wątpię, czy jakakolwiek ludzka istota, nastawiona poetycko czy materialistycznie, spoglądała na zjawiska tego świata, zarówno doczesne jak duchowe, równie pożądliwym okiem, jak ja to czyniłem. Moje ciało płonęło od żądz seksualnych, mój duch gorzał pragnieniem wywyższenia w dziedzinie materialnej i socjalnej. Chciałem być bogaty. Chciałem być przyjmowany w towarzystwie"...

Łatwo sobie wyobrazić, jak okrutnie cierpiał tego pokroju duch w ciasnym kole swoich zajęć dziennikarskich, a jeszcze przedtem jako pomocnik w składzie ceramicznym w Chicago, gdzie zarabiał pięć dolarów tygodniowo, bądź też w biurze sprzedaży nieruchomości lub jako akwizytor sklepu z meblami. Osiem lat pracy w redakcji w Chicago, w piśmie „Chicago Daily Globe", w latach 1892—1900, było pierwszym wyzwoleniem się, zdobyciem odskoczni do dalszej kariery, tym bardziej, że mógł przenosić się z miejsca na miejsce. Pracował kolejno w St. Louis, w Pittsburgu, New Yorku, kierował redakcjami pism raz muzycznych, to znowu kobiecych.

Wyzwolenie prawdziwe, rozgłos i pieniądze przyszły niecierpliwemu autorowi dopiero po roku 1900, z chwilą ukazania się dwóch powieści takich, jakich Ameryka dotychczas nie czytała, jeśli idzie o losy bohaterki kobiecej. „Sister Carrie" (1900) i „Jenny Gerhardt" (1911) obalały tradycyjne pojęcia burżuazyjne o małżeństwie, zastępując je tezą wolnej miłości. Czy ta Carolina Meeber z Columbia City w „Sister Carrie", uciekająca do Chicago, żeby tu zamieszkać w wolnym związku z komiwojażerem, blagierem Drouetem, unikając nędznej i czarnej egzystencji swojej siostry, nie jest odzwierciedleniem losu kilku sióstr autora, które z przekleństwem na ustach opuszczały własne ognisko domowe? Prawdopodobnie tak, tym bardziej, że jedna z nich zeszła wyraźnie na manowce. Carrie, odrzuciwszy Drouetą, zrujnowawszy jego następcę, Hurstwooda, który dla niej defraduje dziesięć tysięcy dolarów i ucieka do Kanady, robi w New Yorku karierę jako śpiewaczka na scenie.

Nie zważając na głosy oburzenia i potępienia ze strony krytyki, szedł Dreiser konsekwentnie po drodze swych usiłowań, demaskując obyczajowość kół mieszczańskich. Doskonale, po reportersku zebrany materiał, beznamiętne, pozbawione wszelkich ozdób literackich przedstawienie dziejów Jenny Gerhardt zrobiło na społeczeństwie jak najgorsze wrażenie. Winę za spaczenie losów bohaterki ponosili burżuazyjni przedstawiciele społeczeństwa kapitalistycznego, senator Brander, uwodziciel i ojciec nieślubnego jej dziecka, po jego śmierci Lester Cane, syn bogatego przemysłowca z Clevelandu... Ani jeden ani drugi nie pomyślał o zaopatrzeniu materialnym przyjaciółki, która wypełniwszy treścią ich tragiczne zresztą życie, zostaje po ich zgonie w zapomnieniu i nędzy.

Ambitniejszy cel zakroił sobie Dreiser w następnej serii, obrazującej świat wielkiej finansjery jankesowskiej. Wypowiedział tu swoją nienawiść do rekinów przemysłu amerykańskiego, krytykę karteli i trustów, analizę nihilizmu moralnego ich reprezentantów. Powieść składająca się z dwóch części: „The Financier" (1912) i „The Titan" (1914), stanowi biografię Amerykanina obdarzonego talentem spekulacji finansowej. „Finansista" opowiada dzieje bohatera na terenie Filadelfii, „Tytan" poczynania tegoż na gruncie chicagowskim.

Obserwujemy młodego Franka Cowperwooda od 10-go roku życia, kiedy pilno mu było rzucić szkołę i zacząć zarabiać na własną rękę. Ponieważ ojciec jego pełnił obowiązki kasjera w banku w Filadelfii, młodzieniec ma sposobność opanować tajniki zawodu bankierskiego bardzo rychło. Parę domów handlowych, gdzie pracuje, chce go zatrzymać. Frank odrzuca wszelkie oferty, wiedząc jaką ma przed sobą przyszłość. Wkrótce otwiera własny kantor pośrednictwa kredytowego, zarabia doskonale i zakłada rodzinę.

W sprawach erotycznych utalentowany kandydat bankierski pozbawiony jest wszelkich skrupułów. Przyzwyczajony do łatwych zdobyczy pośród koleżanek najwcześniejszej młodości, poślubia młodą Lilian Semple, urządza jej piękną rezydencję i dąży przebojem do dużych pieniędzy i wysokiego stanowiska.

Uwagę jego przyciąga nowy podówczas środek lokomocji miejskiej, tramwaj. Tworzenie towarzystw w tej dziedzinie, skup i sprzedaż akcyj, operowanie papierami staje się jego obsesją. Wchodzi w kontakt z urzędnikami zarządu miejskiego, otrzymuje wielkie sumy do bezprocentowego obrotu, lokuje sumy te w akcjach i osiąga kolosalne zyski. Wierność dla żony kończy się dość wcześnie. Po kilku latach nawiązuje romans z Aileen Butler, córką irlandzkiego wspólnika. Szkodzi mu to w krachu giełdowym, który wybucha w r. 1871 na wiadomość o pożarze Chicago. Przyjaciele odmawiają mu kredytów. Pałający nienawiścią Butler podstawia mu nogę. Frank musi ogłosić niewypłacalność.

Nie dosyć na tym. Wobec niemożności zwrotu pół miliona dolarów do kas miejskich, musi Cowperwood odpowiadać przed sądem. Zarząd miejski i partia republikańska będąca u steru, zostały skompromitowane machinacjami Cowperwooda. Skierowano na niego ostry atak władz i zrobiono kozłem ofiarnym. Nie był zresztą bez winy. Wyrok skazujący na przeszło 3 lata więzienia pociągnął za sobą dymisję zaplątanego w tę aferę kasjera miejskiego. Aileen postanawia czekać na swego ukochanego. Pobyt w więzieniu trwał tylko 13 miesięcy — nastąpiła amnestia. W przeciągu roku skazaniec odegrał się: przy krachu jednego z domów bankowych zdobył Cowperwood za jednym zamachem środki finansowe. Stał się na nowo bogaty.

Teraz jedzie do Chicago. Tu jest ośrodek nowego przemysłu, centrala przedsiębiorstw działających na wielkich przestrzeniach środkowego zachodu. Nawiązuje kontakty z miejscowymi potentatami i zaczyna działać. Pracuje w branży tramwajów chicagowskich. Wielkimi skokami posuwa się naprzód. Nienasycony w walce o pieniądze chce stworzyć dom i być dopuszczonym do ekskluzywnego towarzystwa milionerów z dawna tu osiadłych. Brak równowagi ze strony Aileen stoi mu na przeszkodzie w zdobyciu tego awansu towarzyskiego dla niej i dla siebie. Zaczyna ją zaniedbywać i — zdradzać. Rita Sohulberg, żona duńskiego skrzypka, Antonina Nowak, Polka, osobista jego sekretarka, Stefania Platow, Żydówka, artystka dramatyczna, wiele innych pań przygodnych mają nasycić głód miłosny płowowłosej bestii nietzscheańskiej, tkwiącej w impetycznym Franku Cowperwoode. Aileen dochodziła czynnie swych praw, mszcząc się na jednej z rywalek gwałtownym jej obiciem.

Cowperwood ugruntowawszy swoje wpływy w zarządzie kilku dzielnic chicagowskich, zdobywał przez zaufanych i opłacanych ludzi koncesje na linie tramwajowe, na oświetlenie gazowe. Swoją polityką doprowadzał do ruiny grupę przeciwników. Żeby umocnić swoją pozycję, zabiegał o przedłużenie koncesji na 50 lat. Był u burmistrza miasta Chicago. Był u gubernatora stanu. Próbował wyraźnie przekupstwa. Nie udało mu się to. W wyniku tego poniósł w ostatecznej rozgrywce klęskę: lud stanął przeciw niemu jako przedstawicielowi kapitału. Berenice Fleming, czarująca panna, godząc się wyjść za niego za mąż, osładza mu w tej godzinie gorycz porażki. Cowperwood jest nadal potęgą. Starzejący się, sześćdziesięcioletni gracz życia potrzebował jak Dawid nowego zastrzyku, chęci do życia...

Dreiser potępiał kapitalistę, podziwiał mężczyznę. Mieć do dyspozycji środki materialne, poruszać się wśród najlepszych sfer towarzyskich środowiska, nie odmawiać sobie niczego w dziedzinie uciech seksualnych — oto wizja człowieka silnego, realizowana przez niego po mistrzowsku na przestrzeni całego jego powieściopisarskiego życia. Pierwsza niechęć do znoszenia ucisków konwencyj życiowych pojawiła się w sercu autora jeszcze w domu na widok ograniczonej pobożności ojca. Przestawanie w kołach reporterskodziennikarskich wyżłobiło dalsze ślady materialistyczne na umysłowości młodego Theodora. Reszty dokonała lektura Tomasza Henryka Huxleya i Herberta Spencera.

Typ sensualisty, zdecydowanego hedonika, dążącego do najpełniejszego wykorzystania szans życiowych jest także bohaterem „Tragedii amerykańskiej".

Jest to perła epiki amerykańskiej.

Bohater wyszedł z Kansas City ze środowiska wybitnie religijnego. Rodzice jego są misjonarzami, kaznodziejami wędrownymi na Zachodzie. Stąd purytanizm w jego wychowaniu. Nie dało mu to jednak podstaw etycznych dość silnych, mogących wspierać się na przekonaniach wewnętrznych. Chłopiec łaknie pieniędzy, możliwości przestawania w lepszym towarzystwie, marzy o świecie komfortu i bogactwa.

Uśmiecha mu się okazja po temu. Bogaty wuj sprowadza go do swej fabryki. Bierna natura młodzieńca, łatwość w uleganiu pokusom wiąże go w tym właśnie okresie z Robertą Alden, dziewczyną niesłychanie miłą i ładną, ale ubogą, pochodzącą ze wsi. Roberta zaszła w ciążę, żąda od Clyde'a poślubienia jej. Przypadek chce, że teraz właśnie poznaje Clyde Gryffiths pannę z najlepszego domu, sprzyjającą mu wyraźnie, Sondrę Finchley. Towarzystwo złotej młodzieży, domy bogaczów, miłość kobiety z wyższego świata, miłość poetyczna, wolna od trosk materialnych, miłość wywyższająca go socjalnie staje przed nim.

Tymczasem Roberta nagli do ślubu. Clyde powziął decyzję: usunie Robertę drogą zabójstwa. Myśl jego zaczęła bezlitośnie a gorączkowo pracować nad zrealizowaniem planu. Postanowił utopić kochankę podczas wycieczki na jeziorze. W decydującym momencie nie miał do tego dość odwagi. Z pomocą przyszedł mu przypadek: łódź przewróciła się i wtedy Clyde nie wpuścił Roberty na łódź.

Zbrodnia została wykryta i pomszczona. Sprawca umarł na krześle elektrycznym. Powieść wywołała wielki krzyk oburzenia. Najbardziej denerwowało rodaków to, że autor nazwał zdarzenie całe tragedią „amerykańską", a więc nie czymś sporadycznym, lecz zjawiskiem nagminnym, świadczącym o zmaterializowaniu młodzieży USA. Dreiser zarzuca młodemu pokoleniu niczym niehamowaną tendencję do zdobycia bogactw i do intensywnego używania dóbr doczesnych. Tezę tę uważano za obelgę i zwalczano zajadle.

„Tragedia amerykańska" wysunęła Dreisera na czoło pisarzy USA. Było to równoznaczne z objęciem przez niego kierownictwa ataków na społeczeństwo amerykańskie. Toteż zwalczano go zawzięcie przy pomocy wszelkich godziwych i niegodziwych środków. Zdecydowane przesunięcie się pisarza ku radykalizmowi, szczególnie od roku 1928, kiedy po podróży do Rosji ogłosił książkę „Dreiser Looks Russia" wywołało istną burzę przeciw autorowi. Wielka rozpiętość jego zainteresowań, niezaprzeczony dar pisarski, gwałtowność inwektyw antyburżuazyjnych, ześrodkowały uwagę społeczeństwa na jego osobie. Nie miał on daru zjednywania sobie ludzi. W zaciekłości swej i zażartej wojnie przeciw sferom kapitalistycznym nie szedł nigdy na żaden kompromis. Wystąpienia jego budziły bardzo mieszane uczucia. Sama postać i sposób bycia zniechęcały ludzi do niego. Masywna postać, szerokie czoło, zacięte usta, świdrujące oczy świadczyły o jego niepożytej energii, o niezwykłej wytrwałości i pracowitości. Osobowości jednak Dreisera brakło dostojeństwa i powagi. Leewelyn Powys opowiada o nim: „Theodore Dreiser jest z gruntu niezdolny do przyjęcia świata takim, jakim on jest. Nie umie on brać sytuacji tak, jak młoda kukułka bierze gniazdo, w które je podrzuciła matka natura. Zagląda pod każdy liść, przewraca każdy kamyk. Jego potężna imaginacja, gromadząca wszystko w swym lamusie, pełna boskiej ciekawości, przebiega z rykiem prerie wszechświata, pędząc z żywiołowym, niewstrzymanym rozmachem, charakterystycznym dla jakiegoś oszalałego, dzikiego bawołu. Ile razy z nim przebywam, mam okazję obserwowania jego potężnego umysłu, zajmującego się problemami, które go interesują. Raz będzie to podstępna natura kobiet, raz hodowla gołębi, to znowu rozumowanie pająka, którego raz obserwował w swojej sypialni, lub jeszcze kiedy indziej budowa wszechświata z elektronów. Zawsze jestem zdumiony. Zawsze czuję grozę wobec wysiłków tego nieporadnego olbrzyma, który kończynami tkwi jeszcze do połowy w twórczej glinie".

Po „Tragedii amerykańskiej" i pobycie

w Rosji Dreiser, stanąwszy na czele walki przeciw ustrojowi kapitalistycznemu w USA, stał się swego rodzaju instytucją moralną dla zwalczania zła w swej ojczyźnie. Wszędzie gdzie występowała krzywda człowieka lub jednej warstwy, uciskanej przez drugą, zjawiał się z pomocą. Czy szło o Sacco i Vanzettiego w r. 1927, czy o obronę więźniów politycznych, o komitet światowy przeciw wojnie, związek pisarzy rewolucyjnych, zrzeszenie dokonywające reformy socjalnej i seksualnej, nazwisko jego służyło za sztandar.

W roku 1932 przeprowadził gwałtowną kampanię przeciw związkom węglowym w Kentucky. Stosowano tam bezwzględny terror wobec górników pragnących wywalczyć sobie lepsze warunki pracy. Ponieważ władze stanowe, rządy i prasa stały po stronie związków, Dreiser zorganizował wywiadowczą wyprawę pisarzy w teren. W zorganizowanej wówczas przeciw pisarzowi nagonce posunięto się w hotelu Continental, w mieście Pineville, do szpiegowania pisarza i zarzucenia mu cudzołóstwa z własną sekretarką. Dreiser, ożeniony w roku 1898, rozwiódł się z żoną dwa lata później, stwierdziwszy niezgodność charakterów, swego i żony.

Dreiser, nazywany przez przeciwników komunistą, nie odżegnywał się od tej nazwy, lecz udowadniał, że według swego rozumienia jest ekwitystą, zwolennikiem równowagi społecznej, social equity. Dążył do wyrównania krzywdy szarego człowieka, do ukrócenia wszechpotęgi koncernów, trustów i partii politycznych.

Zapewne, wiele posunięć Dreisera było pomyłką zwłaszcza ze względu na jego gwałtowność, nieumiarkowanie, nietakt. W r. 1931, na zebraniu pisarzy amerykańskich ku czci Borysa Pilniaka, Dreiser, podrażniony przez Sinclair Lewisa, laureata nagrody Nobla z r. 1930, zarzutem rzekomej kradzieży literackiej, spoliczkował go kilkakrotnie. Rdzenny Amerykanin, gentleman, Lewis, zareagował spokojnym nadstawieniem drugiego policzka i słowami: Na co pan czeka?

W praktyce nie bardzo to był przykładny dowód stosowania zasady equity. Wyobrazić sobie w takiej chwili Walta Whitmana, nie mówiąc już o mędrcu z Concord, Emersonie!

Stanisław Helsztyński

IGNACY STADNICZEŃKO

Bibliomiraże i bibliowiraże

Slogany propagandowe nie panują długo. Przemijają jak sezonowa piosenka brukowa. To jest ich słaba strona. Nie są też obliczone na kaptowanie myślicieli ani nawet obliczone na próbę wytrzymałości logicznej. Apelują raczej do pobudliwej imaginacji ludzkiej trzody, do zasady „Credo quia absurdum".

I to jest ich mocna strona.

Wśród zgiełku świeżych sloganów jak „radionizacja kraju", „kinofikacja", „nie matura lecz chęć szczera..." itd., słyszymy czasem także o upowszechnieniu bibliotek i ucho nam mówi, że chyba gdzieś kiedyś słyszeliśmy już tę ograną płytę. Przypominamy sobie, że slogan o bibliotekach istotnie był lansowany dawno przed wojną. Nie miał wtedy zbytniego powodzenia. Nawet kiedy był świeży. Nie dostawało mu zasadniczych walorów sloganu propagandowego. Ani się nie rymował, ani nie był w ówczesnych stosunkach dość bzdurny. Dziś, kiedy w konfrontacji z rzeczywistością urósł do rozmiarów nonsensu — mógłby zrobić karierę. Mógłby rozpętać namiętne dyskusje, zacietrzewione polemiki, napłodzić komitetów i subkomitetów, puścić w ruch znaną dobrze komedię kolektywnego obełgiwania, której formy powtarzają się stereotypowo (nie tylko u nas) mimo różnorakiej treści, jaką oblekają.

Rzućmy okiem w niedaleką przeszłość, na rok 1935, kiedy to hasło upowszechniania bibliotek miało urok najnowszego przeboju kabaretowego. Wtedy to minister W. R. i O. P. złożył w Sejmie „Rządowy projekt o Bibliotekach Samorządowych". Z samego już tytułu widzimy, że „fiscus semper rapax" chciał chytrze przewalić koszty tego propagandowego gestu na samorząd. A chociaż w owej dobie Czechosłowacja, Estonia, Łotwa i tym podobne drobnoustroje zdystansowały nas haniebnie w udostępnianiu bibliotek, to prezes Związku Powiatów, Jaroszyński, wniósł osobny memoriał przeciw ustawie, żeby zabezpieczyć burżuja przed ciężarami projektu, godzącego w jego kieszeń.

Ów projekt rządowy o „Bibliotekach Samorządowych" poszedł tedy do kosza, aby uchronić ludność od dalszych ciężarów na cele tak mało popularne. Może kto ciekaw jakie było to obciążenie dotychczas? Oto udział jednego obywatela „mocarstwowej Polski" w ponoszeniu wydatków na biblioteki wynosił rocznie od jednej dziesiątej do jednej piątej **grosza!** (Statystyka). Taki to balast budżetowy stanowiły polskie biblioteki naukowe. Biblioteki oświatowe nie miały w ogóle budżetu. Żyły z tego, co im rzucało kapryśnie publiczne miłosierdzie jako „Dar Trzeciego Maja" — tak jak kalecy tego kraju żyją z odpustów.

W roku 1939 „Biuro Studiów i Planowania" pamiętnego „Ozonu" podjęło znowu sprawę bibliotek. Hałasu narobił druk pt. „Problem upowszechnienia wartości kulturalnych". Znamienne jest, że ozonowcy przemilczeli obłudnie w tej publikacji smutny stan ówczesny tych wartości kulturalnych, pokryli milczeniem, iż pierwsza i reprezentacyjna książnica w kraju, „Biblioteka Narodowa" miała w (poprzednim) roku budżetowym 1937/8 na kupno książek i czasopism, oraz na oprawę i konserwację zbiorów śmieszny kredyt roczny 36 692 zł. Zamilczeli także, że mimo dwudziestu lat niepodległości Biblioteka Narodowa nie ma dachu nad głową, że się tuła w trzech odległych od siebie budynkach (Oficyna WSH, Pałac Kultury Polskiej i Centralna Biblioteka Wojskowa), że nie ma funduszów na katalogowanie, ani na oprawę książek, na zakup dzieł zagranicznych ani na potrzebne urządzenia, że wreszcie musiała zamknąć czytelnię dla publiczności nie mając gdzie posadzić swoich pracowników i że poszukiwała w tym okresie jeszcze czwartego lokalu.

Tych parę kwiatuszków uszczknęliśmy ze sprawozdania urzędowego Biblioteki Narodowej za r. 1937/8 i ze współczesnego artykułu śp. Jana Lorentowicza w „Nowej Książce". Nie można się dziwić, że w takich warunkach Biblioteka Narodowa do tego stopnia zostawiała odłogiem elementarne agendy organizacyjne, iż zaniedbała nawet opatrzenia swymi pieczęciami cennych rękopisów Biblioteki Załuskich, wskutek czego skarby te zaginęły później w Görbitsch koło Frankfurtu nad Odrą, dokąd je wywieźli Niemcy. Może jaki „szabrownik" opylił je jako pergamin.

Nie lepiej powodziło się drugiej książnicy państwowej, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kiedyś, za czasów austriackich, pobierała dotację roczną 20 000 koron; rząd polski obciął ją do 3 295 złotych. Szacownej tej książnicy zaczęła niebawem grozić nieuchronna ruina. Cenne inkunabuły nie miały okładek, krawędzie książek były w licznych wypadkach obszarpane i strawione wilgocią, folianty czasopism daremnie czekały latami na oprawę. Gdy wreszcie wskutek wilgoci murów pozaciekały historyczne rękopisy, zdobył się Sejm na udzielenie kredytu na remont gmachu bibliotecznego.

Tak haniebnie przedstawiał się stan polskich bibliotek naukowych przed wojną. A przecież jak powiedzieliśmy, hasło upowszechnienia bibliotek nie było w owej epoce jeszcze zupełnym absurdem. Nie mieliśmy, prawda, w Polsce żadnej Ambroziany ani Bodlejany, ale bądź co bądź było wtedy w kraju w bibliotekach naukowych przeszło 21 milionów tomów. Dziś, kiedy po sześcioletniej wojnie biblioteki nasze zastaliśmy zdewastowane albo po prostu zrównane z ziemią, zostało nam z nich zaledwie sześć milionów tomów, mniej nawet niż trzecia część stanu przedwojennego.

To są cyfry przytaczane ostatnio na Zjeździe Bibliotekarzy w Katowicach. Prócz tych szczątków posiadamy jeszcze tylko dość nieuchwytne zbiory, w ilości może półtora miliona tomów zabranych z dworów. Ten produkt uboczny reformy rolnej jest w przeważnej części dotychczas nie zbadany i nie zabezpieczony. Domaga się on rudymentarnej choćby selekcji i natychmiastowej opieki. Mogą w nim przeważać tandetne powieści albo przestarzałe podręczniki rolnicze, kalendarze lub senniki egipskie, ale mogą się też w tym mieszanym towarzystwie ukrywać białe kruki, boć „habent sua fata libelli". Trzeba by te białe kruki uchronić, i to zaraz, przed zachłannością kruków czarnych oraz ptaków niebieskich, grasujących teraz w przebogatej liczbie odmian po polskim pobojowisku. Trzeba by je zabezpieczyć przed dalszą poniewierką w horendalnych warunkach przechowania, zanim je pozjadają do cna mole i myszy.

Toteż właśnie zabezpieczenie było jednym z najbardziej podniecających tematów dyskusyjnych w Katowicach. A przecież zabezpieczenie to niemal antyteza upowszechnienia!

Tymczasem — nieprawda! W naszej praktyce ubezpieczenie to prawie synonim rozpylenia. Przypatrzmy się jak wygląda u nas to „ubezpieczanie". — „Sprawą książki — pisze Józef Janiczek w „Bibliotekarzu" — interesowało się wiele różnorodnych czynników, a mianowicie: Referat Informacji i Propagandy, Kultury i Sztuki, Oświaty, Rolnictwa, Reform Rolnych, Wojsko Polskie, partie polityczne, organizacje młodzieży, organizacje społeczne, spółdzielcze itd. Każdy z tych czynników tylko siebie uważał za najbardziej powołany do zabezpieczania książek... oczywiście groziło to rozbiciem akcji zabezpieczenia, a co gorsza, możliwością znikania nie tylko pojedynczych książek ale i całych księgozbiorów".

Tamże czytamy dalej: „Akcja zabezpieczania księgozbiorów przez władze szkolne napotyka w dalszym ciągu na różne trudności zarówno ze strony czynników rządowych jak i społecznych. I tak np. niedawno wicewojewoda w Legnicy, Wengierow, nie bacząc na istniejące zarządzenie Resortu Kultury i Sztuki w sprawie przekazania spraw bibliotecznych władzom szkolnym — wydał okólnik, na mocy którego właśnie tylko Powiatowe i Wojewódzkie Wydziały Kultury i Sztuki mają się zajmować zabezpieczeniem księgozbiorów... Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Minister Oświaty postanawiają tak, a obywatel wicewojewoda inaczej". („Bibliotekarz", nr 1/2 z r. 1946).

Niektóre znowu władze „zabezpieczają" książki tak gruntownie, że zainteresowani książek tych szukają później przez gazety. I tak np. „Rzeczpospolita" rzuciła onegdaj w nr. 89 pod adresem Uniwersytetu Łódzkiego niedyskretne pytanie: „Gdzie jest Biblioteka Offlagu II C?" Biblioteka ta, licząca 40 000 tomów, w tym 15 000 dzieł naukowych w różnych językach, gdzieś się widać zapodziała, gdyż wspomniany dziennik kończy notatkę intrygującym wezwaniem „...dziwi nas nieco milczenie władz uniwersyteckich, które na ten temat — jak dotychczas — nie wypowiedziały się oficjalnie. Poruszając dziś ten ważny i przemilczany z niewiadomych powodów temat, chcemy by władze uniwersyteckie w Łodzi uchyliły rąbka tajemnicy". Wedle notatki „Rzeczypospolitej", Biblioteka Oficerska Obozu w Dobiegniewie (Woldenberg), o którą tu chodzi, została przewieziona do wspomnianego uniwersytetu jeszcze w marcu r. 1945.

W tymże dzienniku z 13 kwietnia br. dorzuca w tej sprawie smętny komentarz por. Serednicki, delegat władz wojskowych do rewindykacji bibliotek oflagowych i poniemieckich: „...Od Komendanta Milicji Obywatelskiej dowiedziałem się, że książki Offlagu II C zostały częściowo zniszczone, częściowo zaś wywiezione przez osoby prywatne oraz różne instytucje, przy czym nie podawano, jakie instytucje zabierają książki ani dokąd je wywożą". „Uważam — kończy relację por. Serednicki — że odnośne instytucje winny zawiadomić społeczeństwo o losie zabezpieczonych książek".

Tak uważamy i my. Tymczasem owe instytucje uważają, że bezpieczniej jest milczeć o tym „zabezpieczeniu".

Z powyższych próbek (bez wartości) naszego krzątania się koło zabezpieczenia bibliotek nie możemy wysnuwać bardzo różowych wniosków o wyniku ostatecznym tej akcji. Wielka szkoda, bo przy odrobinie sprawności, węchu i zamiłowania można by wydobyć z przeróżnych szczelin nieprawdopodobne stosy książek, rzucone tam przez zawieruchę wojenną. Mieliśmy nieraz okazję patrzeć, jakie koleje przechodziły książki tempore belli, jaką igraszką tego huraganu były całe biblioteki. W podziemiach kościoła św. Michała w Poznaniu schowali Niemcy pół miliona książek zagrabionych z różnych bibliotek prywatnych i publicznych. W sezamie tym odkryto ostatnio wiele cennych wydawnictw i szereg książek ze zbiorów śp. Bernarda Chrzanowskiego, wiele dzieł Kasprowicza, Żeromskiego i innych czołowych autorów polskich, z ich autografami. Także w kościele św. Stanisława w Poznaniu znaleziono 60 000 tomów ukrytych przez Niemców, a najświeższe doniesienia mówią o wykryciu w Szczecinie niemieckiego Archiwum Państwowego, dokąd rabies teutonica zawlokła zbiory podziemnej prasy polskiej z czasów tej wojny.

Jeszcze ciągle można spotkać cymelie biblioteczne po handlach korzennych, gdzie wartościowe książki służą do zawijania drożdży. Jeszcze i teraz można nieraz zobaczyć luksusową książkę zagraniczną, spełniającą funkcję protezy przy kulawym stole. Ja sam odkupiłem od handlarki tytoniu w Siedlcach trzy kilogramy Wundta po 30 zł za kg. (Völkerpsychologie, Band II und IV).

Jak takie kosztowności wywabiać z kryjówek, tego nauczyć się trudno. Nawet drapieżni Niemcy nie zdołali wypracować metodyki takiej akcji i wiele skarbów wymykało się im z pazurów. To jest robota delikatniejsza. Może potrafiliby to zrobić nasi Żydzi. Czyż nie oni przez setki lat kultywowali w Polsce z takim sukcesem handel starymi księgami? Oni wykształciliby niezawodnie wnikliwą penetrację kupiecką aż w te szczeliny kryjówek i wydobyli stamtąd niejednego rzadkiego Elzewira. Ale gdzież oni teraz, ci nasi bukiniści: Bodeki, Hoelzle, Igle, Jolowicze, Kleinsingery, Taffety?

Czy my to zrobić potrafimy? Nasz laissez-faire'yzm, nasz jakoś-to-be-izm, a nade wszystko nasz kompletny brak poczucia koordynacji i subordynacji, sięgający — jak widzieliśmy — wzwyż aż do wicewojewodów, każe w to zwątpić. Pierworodne te ułomności udaremniały nam zawsze wszelką działalność zespołową. Czy przy tym dziele odbudowy z ruin naszych bibliotek zdobędziemy się na więcej rozsądku, konsekwencji i spoistości? Czy ziści się może jakim cudem chociaż ta skromna prognoza, przyznająca Polakowi mądrość przynajmniej po szkodzie? Czy może, przeciwnie, doprowadzimy do jakiejś nowej fikcji, do jakiegoś nieodpowiedzialnego biura studiów, jak owo ozonowe z roku 1939, będziemy tworzyć jakieś komitety społeczne i nadużyjemy znowu przysłowiowej cierpliwości papieru do jakichś nakazów i zarządzeń wykonalnych chyba w „abstraktosferze".

Nie ma takiego zacofańca, który by zaprzeczył konieczności tworzenia bibliotek oświatowych albo nie uznawał pożytku udostępnienia szerszym kręgom nawet bibliotek naukowych, ale nie wynika z tego, żebyśmy odwracali jedynie możliwą kolejność ogniw łańcucha tej akcji: najpierw gromadzić, a dopiero potem rozpowszechniać.

Przede wszystkim musimy skwapliwie zatrzymać tę rzadką sposobność wyłowienia i zabezpieczenia rozproszonych po wszystkich zakamarkach kraju szczątków bibliotecznych. Szczątki te chronić musimy co najmniej z równą troskliwością, jak chroniliśmy resztki cisów w Tucholskich Borach i niedobitki żubrów w Białowieży. Jeśli zmarnujemy do reszty poniewierające się po szopach spolia wojenne i derelikta obszarnicze, tak jak je dotychczas marnujemy, to tym więcej książek będziemy musieli kupić, wyłudzić lub wyżebrać od obywateli.

Tak czy owak, przestańmy — tymczasem — hałasować o upowszechnieniu bibliotek, jak długo książek nie mamy. Bo jeszcze żadna teoria względności nie obaliła dotychczas tej starej prawdy, że upowszechniać można tylko to — co istnieje.

Ignacy Stadniczeńko

ROMAN BRATNY

OSTATNI LIRYK

Przywiązałaś mnie do igły gramofonu
i włóczą mnie po milimetrowej głębokości przepaściach
głosy jękliwych tenorów
w granych na wszystkich kontynentach tangach.

Czemu patrzysz, czemu czekasz?
wszystkie puszczone w tej minucie płyty
będą skomleć, że rzuciłaś mnie, niewierna,
i drżał będę jak w powietrzu ich głosami zawyte

„porzuciłaś mnie, porzuciłaaaś..."
Ale taka rozpacz wybuduje tylko
na milimetr wysoki, choć bardzo zawiły,
jar obłąkany obrotem z płytą.

W milimetrowym takim padole
— tam Dante tango tańczy jęcząc
a ja do igły przywiązany za nogę
za tobą w tęsknocie biegnę!

Teraz na najwyższym tonie
spojrzeć w górę — kominy dymią fabryczne!
Ukochana! — zostań w gramofonie!
— opuszczam milimetrowy tor liryczny.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Tadeusz Estreicher: Praca naukowa przyrodnika rzadko zajmuje szerszą publiczność; temat musiałby być wyjątkowo interesujący przez swą ważność lub aktualność, ale cóż np. mogłoby obchodzić czytelnika, czy będę kontynuował pracę nad czerwonymi nadmolibdenianami kompleksowymi, lub nad działaniem tlenków metali dwuwartościowych na chlorki?

Bardziej zainteresuje czytelników „Odrodzenia" fakt, że w czasie wojny, poza swoją specjalnością chemiczną, nie mając dostępu do pracowni chemicznej, gdyż gmach był zajęty przez władze okupacyjne, i nie mogąc wskutek tego pracować w kierunku właściwych mi zainteresowań, tym bardziej, że konieczność pracy zarobkowej zmusiła mnie do całodziennego zajęcia korektorskiego w Drukarni Narodowej — zająłem się studiami literackimi nad twórczością Fredry, czego owocem była wcale obszerna rzecz poświęcona imionnictwu (onomastyce) w komediach Fredry. Badań tego rodzaju w ogóle — jak się zdaje — odnośnie przynajmniej do naszego piśmiennictwa, a w szczególności do twórczości Fredry — nie przeprowadzono; imionnictwu temu poświęcił np. Chrzanowski w swej podstawowej i obszernej książce o komediach Fredry dosłownie kilka wierszy; a tymczasem temat podczas opracowywania stawał się coraz ciekawszy i pozwolił mi dojść do bardzo interesujących wyników. Tak przynajmniej uważają ci spomiędzy najwybitniejszych twórców literatury i historyków literatury, którzy mieli sposobność zapoznać się z rękopisem. Mam nadzieję, że książka zostanie — może w niezbyt długim czasie — wydana, a studium literackie, wykonane na warsztacie chemicznym, może się okazać interesujące.

W pracy korektorskiej bardzo intensywnej i absorbującej czekało się niekiedy godzinami na robotę. Te pauzy wypełniałem sobie w rozmaity sposób dla skrócenia czasu, aż pod koniec zająłem się... przekładem niektórych „Opowieści z 1001 nocy". A cóż to ciekawego?! Czyż to warto? Wszak każdy zna te baśnie dla dzieci, te historie o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach, o wędrówkach Sindbada, o lampie Aladdina... Otóż tak nie jest: 1001 nocy to niemal nieprzebrana kopalnia opowiadań z arabskiego średniowiecza, gdzie baśnie cudowne stanowią tylko niewielki stosunkowo ułamek. Inne opowiadania to przeważnie krótsze lub dłuższe nowele — czasem wprost długie powieści — z życia arabskiego, które poznajemy na wszystkich stopniach społecznych: począwszy od prymitywnej lepianki nędzarza, namiotu koczowniczego Beduina, miejskich domów kupców, skromnych czy imponujących przepychem, do dumnych pałaców wezyrów i samego Chalifa Bożego. Poznajemy prostych chłopów, obcujemy z ubogimi rybakami, z mieszczanami, towarzyszymy w szelmowskich eskapadach chytrej Delile, co nawet ukrzyżowana potrafiła z krzyża zejść i kogo innego na swym miejscu osadzić; towarzyszymy i Harunowi el-Raszidowi obok wezyra Dżaafara i Mesrura, tego „miecza pomsty chalifowej", poznajemy bliżej tego chalifa, samowolnego i okrutnego gwałtownika i wspaniałomyślnego, pysznego, hojnego władcę, jego dwór, jego żony, poetów i muzyków nadwornych, uczonych, niosących wysoko sztandar kultury wtedy, gdy ona w Europie się zaćmiła — — — cały świat Islamu, dziś nam prawie nieznany. Ale to nie bajeczki dla dzieci, to lektura dla umysłów dojrzałych. Wszystkie niemal narody cywilizowane posiadają kompletne przekłady tych „Opowieści"; u nas zadowala się dotąd przeróbkami dla dzieci, niewielu, przeważnie czarodziejskich, opowiadań. Mam przekład kilkudziesięciu takich dotąd nieuwzględnionych opowiadań, niektóre nowelistycznie pierwszorzędne; zapełniłyby jeden lub dwa tomy. Ale o wydaniu na razie nie myślę; całości już nie podjąłbym się przełożyć.

Klaudiusz Filasiewicz: W druku (nakładem księgarni wydawniczej Wiedza—Zawód—Kultura, Kraków, Sławkowska 3) znajduje się moja „Technologia metali", zawierająca metalurgię żelaza i metali kolorowych oraz walcownictwo i kuźnictwo, około 400 stron. Jest to podręcznik ogólny, na poziomie liceum mechanicznego. Książka ma się ukazać w lipcu rb.

Przygotowałem prawie w zupełności do druku moje „Metaloznawstwo praktyczne", trzy tomy po 350 stron: a) „Metaloznawstwo ogólne", b) „Metaloznawstwo stopów żelaza" i c) „Metaloznawstwo metali i stopów metali kolorowych".

Jest to książka źródłowa, na poziomie akademickim, podstawowy podręcznik dla inżynierów mechaników i hutników.

Obecnie pracuję nad wykładami „Wykrojnictwa" (teoria i praktyka), które mogą być przygotowane do druku za 5—6 miesięcy. Oprócz tego jako pracę katedry plastycznej obróbki metali przygotowuje się pod moim kierownictwem: materiały do normalizacji wykrojnictwa. Poszczególne tematy z walcownictwa i kuźnictwa ukażą się jako artykuły w czasopismach technicznych.

Kazimierz Gołba: 1) Obecnie drukuje się moja sztuka śląska „Lompa", wystawiona niedawno w Katowicach i w Krakowie. Ukaże się nakładem Instytutu Śląskiego. Prócz tego pertraktuję z inną firmą o wydanie powieści, osnutej na tle zatargu polsko-czeskiego o Zaolzie „Z dwóch stron barykady". Decyzja uzależniona jest tylko od opinii cenzury.

2) Na warsztacie mam dłuższe opowiadanie o obronie Katowic przez harcerzy i powstańców we wrześniu 1939 r., oparte na relacjach bezpośrednich świadków, a przeznaczone na lekturę dla młodzieży szkół średnich. Zamówione przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych.

3) Moje plany wydawnicze zależne są od wydawców i innych czynników ponadliterackich. Mam gotową powieść o kongresie wersalskim z 1919 r., napisaną podczas okupacji, oraz dwie powieści z czasów samej okupacji, z których szereg wyjątków drukował katowicki „Dziennik Zachodni". Prócz tego zamierzam ulokować na scenach polskich sztukę „Zdrajca", zatwierdzoną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, oraz widowisko „Nad Odrą wstaje zorza", nagrodzone ostatnio na konkursie powstańczym. Dopóki to nie nastąpi, nie mogę zabrać się do żadnego większego dzieła, bo w braku większych honorariów muszę zarabiać na chleb dorywczo artykułami prasowymi dla tych, co szybko drukują i od ręki płacą.

Nadmieniam jeszcze, że wskutek ciężkich urazów, wyniesionych z hitlerowskiego więzienia, jestem fizycznie unieruchomiony i nie opuszczam mieszkania, co w znacznym stopniu utrudnia mi pracę.

Zofia Jachimecka: Do z górą osiemdziesięciu dokonanych przeze mnie przekładów utworów teatralnych autorów francuskich i włoskich, z których korzystały niemal wszystkie sceny polskie, przybyły w ostatnich latach następujące pozycje: Luigi Chiarelli „Ninon" (mityczne ujęcie postaci Ninon de Lenclos), sztuka widowiskowa, której prapremiera była zagwarantowana dla teatru im. Słowackiego w Krakowie z Zofią Jaroszewską w roli tytułowej; tegoż autora „Biała skóra", komedia zabroniona przed wojną w faszystowskich Włoszech; Rino Alessi „Kocica" — dramat; Ugo Falena „Zemsta Demostenesa"; Guglielmo Zorzi „Ożeniłem się", komedia, nowość z r. 1939; Sabatino Lopez „Trzy epoki — trzy style" — komedia; Edoardo Anton „Grzechotnik" — sztuka o zabarwieniu sensacyjno-kryminalnym; Carlo Goldoni „Sprytna wdówka" — komedia, jedna z najgłośniejszych sztuk autora weneckiego, urocza, barwna, pełna ruchu i typów różnych narodowości: francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej i angielskiej, uchwyconych z najbardziej charakterystycznej i najzabawniejszej strony, na tle życia Wenecji XVIII wieku.

Obecnie pracuję nad przekładem sztuki Roberta Bracco „Źródełko" („La Piccola Fonte").

W tece moich tłumaczeń mam — pomiędzy innymi — gotowy przekład słynnego dzieła francuskiego autora, Emila Gebharta, „Włochy mistyczne" (Historia odrodzenia religijnego w średniowieczu). Do przekładu tego znakomitego, głęboko wzruszającego dzieła, łączącego w sobie wartości naukowe z wysoce piękną formą literacką, nakłonił mnie wielki i znakomity mój przyjaciel Wacław Berent, który dzieło to uważał za najwybitniejszą książkę o średniowieczu włoskim. Przeznaczona do wydania książka nie mogła ukazać się na półkach księgarskich wskutek wybuchu wojny. Posiadam ponadto przekład znacznej ilości nowel znakomitych autorów włoskich.

Lucjan Kaznowski: W roku bieżącym mam zamiar wydać drugie wydanie monografii o chorobach tytoniu pt. „Choroby tytoniu". Poza tym wykańczam obecnie podręcznik „Morfologia roślin" i jeżeli mi czas pozwoli, jeszcze w tym roku oddam go do druku. W sezonie zimowym przystąpię do opracowywania wykładów z zakresu uprawy roli i roślin, które także mam zamiar wydać.

Kazimierz Lepszy: W czasie okupacji napisałem „Dzieje polskiej floty", w których starałem się przystępnie, z równoczesnym uwzględnieniem bogatego materiału archiwalnego przedstawić rozwój naszej floty od początku XVI w. aż do r. 1919, tj. do chwili odbudowy nowoczesnej marynarki handlowej i wojennej. Obecnie Instytut Bałtycki przystępuje do druku tej książki. Rozszerzyłem ją ze względu na aktualne potrzeby chwili o rozdziały końcowe, obejmujące lata międzywojenne, bohaterską obronę Westerplatte i Helu oraz krótki rys działalności floty pomiędzy r. 1939 a 1945.

Czekam z utęsknieniem na obiecane już rok temu przez Komisję Historyczną Polskiej Akademii Umiejętności ukończenie druku złożonego w większej części przed wojną, czwartego tomu „Archiwum Jana Zamoyskiego", zawierającego korespondencję tego wybitnego hetmana, kanclerza i humanisty z lat 1588—1589 (w tym sporo źródeł do Śląska i Prus Książęcych).

Obecnie, mimo licznych obowiązków (sekretarstwo redakcji Polskiego Słownika Biograficznego, współredaktorstwo „Kwartalnika Historycznego" i wykłady uniwersyteckie), zabieram się do napisania częściowo już naszkicowanej książki poświęconej Janowi Zamoyskiemu. Będzie ona przeznaczona dla szerokich sfer czytelników. Za nią pójdzie monografia naukowa.

Jan Mergentaler: Napisałem ostatnio popularną książeczkę o Drodze Mlecznej dla Państwowego Zakładu Wydawnictw Szkolnych. Redaguję dział astronomiczny w Encyklopedii Przyrodniczej, wydawanej przez Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika pod ogólną redakcją prof. D. Szymkiewicza. Pisuję popularne artykuły do czasopism przyrodniczych „Wszechświat", „Wiedza i Życie", „Urania". Napisałem większy artykuł o roli astronomii polskiej w nauce światowej dla „Życia i Nauki". Mam zamiar napisać jeszcze parę popularnych książek. Właściwym terenem pracy jest jednak oczywiście nauka. Ponieważ jestem pozbawiony możności obserwacji — jedyny instrument, jakim rozporządzam, to moje własne oczy — przerzuciłem się ostatnio na teorię. Jaki będzie tego wynik — nie wiem. Wolałbym mieć lunetę, choćby niedużą, pozwalającą fotografować niebo i skromny aparat do mierzenia klisz.

Jan Mydlarski: W druku jest książka pt. „Mechanizm ewolucji w odniesieniu do filogenezy człowieka".

Obecnie pracuję nad rozdziałem zbiorowej zoologii dla studentów uniwersytetu pt. „Rząd naczelnych", poza tym przygotowuję książkę popularno-naukową „Drogi i bezdroża w rozwoju człowieka".

Pragnę w najbliższej przyszłości wydać podręcznik antropologii obejmujący całość zagadnień z tego zakresu.

Józef Parnas: Należy podnieść z uznaniem fakt, że „Odrodzenie" poświęca dużo miejsca sprawom nauki. Nauka, jej odbudowa i organizacja to kapitalne zagadnienie odbudowy Polski i ugruntowania życia kraju w duchu postępu i demokracji. Nauka decyduje również o obronności kraju. Naukę polską, którą rozwijała się pięknie, zniszczył hitleryzm doszczętnie, zarówno jeśli idzie o kadry ludzkie, jak i o środki techniczne. Szkoda wielka, że w rządowych planach odbudowy nauka nie jest tak uwzględniona, jak na to zasługuje i że nie ma tego znaczenia, co w innych krajach a szczególnie w ZSRR. Nauka nasza żyje dotąd życiem wegetacyjnym. Nie ma w niej tego rozmachu twórczego i organizacyjnego, jakiego domaga się kraj.

Sytuacja warsztatów pracy uczonych oraz warunki życia nielicznych w Polsce pracowników nauki są tak ciężkie, że trzeba wreszcie z tego powodu uderzyć na alarm.

Co do mnie, to pracuję obecnie nad książką z dziedziny epizoocjologii, książką niezbędną, jakiej nasza literatura dotąd nie miała. Prace naukowo-badawcze mego Zakładu mikrobiologii odnoszą się do badań nad penicyliną i środkami jej podobnymi oraz nad brucelozą. Część prac ogłosiliśmy już drukiem.

Marian Podkowiński: W końcu ubiegłego roku ukończyłem powieść, której fragmenty drukowałem w prasie, a której dałem tytuł „Pielgrzymki Adamowe". Są to peregrynacje młodego człowieka z warszawskiej rodziny mieszczańskiej poprzez noc wojenną. Rzeczy pisane przed wojną do „Cyrulika Warszawskiego" i „Szpilek", jak również felietony i wesołe opowiastki, które drukowałem tu i ówdzie już po wojnie, zebrałem w spory tomik, który pragnę wydać w niedługim czasie. Owocem moich podróży po Niemczech i do Norymbergi są dwie książki: jedna — cykl reportaży pt. „Reflektorem po Niemczech", druga — „Pamiętnik norymberski", zbiór impresji ze sali sądowej tego pierwszego i największego sądu nad narodem w dziejach świata. Poza tym mam w tece kilka nowel z czasów okupacji oraz wojny 1939 r.

Feliks Polak: Prowadzę obecnie badania nad zjawiskami chemicznymi i fizykochemicznymi, zachodzącymi w przemyśle cukrowniczym, a specjalnie podczas defekacji i saturacji; w najbliższym czasie ogłoszę pracę o adsorpcji na węglanie wapna. Poza tym pracuję nad węglem aktywnym i ogłoszę pracę o tworzeniu się węgla aktywnego w obecności chlorku cynku.

Mieczysław Smolarski: W tym roku spodziewam się wydania wznowień: mej powieści „Warneńczyk" (nowe ilustracje do czwartego wydania są już gotowe), 2) „Młodości sławnych Polaków" oraz 3) „Baśni przy kominku", które w swoim czasie ilustrował Kamil Mackiewicz. Umowy w sprawie wydania tych książek są już zawarte. Prócz tego przygotowywane są ilustracje do nowego zbiorku moich wierszy dla młodzieży pt. „Pogodny światek". Zakontraktowany wreszcie został nowy zbiór mych opowiadań kulturalno-historycznych pt. „Podróż po dawnej Polsce za talara". Nie jest wykluczone, iż wcześniej jeszcze wyjdzie ponownie inny zbiór mych opowiadań historycznych.

Nad czym do niedawna pracowałem? Podczas powstania w Warszawie ocaliłem zbierane przez lat kilka myśli i notatki. Powstał z tego później, częściowo w chłopskiej chacie, spory rękopis „O nową kulturę".

Jakie mam plany pisarskie? Nie lubię pisać o planach wtedy nawet, gdy są dość konkretne. Nasza praca tak bardzo zależy od usposobienia, okoliczności, czasem od nagłego błysku wyobraźni, który zaświeci, lecz zasłoni wszystko inne. W tej chwili sądzę, że zabiorę się wkrótce do pisania powieści historycznej o temacie, którego opracowanie dawno w Polsce było potrzebne, a obecnie jest konieczne.

Bożena Stelmachowska: Oddałam do druku pracę z zakresu etnografii pt. „Zdobnictwo ludowe na Ziemi Pyrzyckiej".

Pracuję obecnie nad kulturą duchową i społeczną ludu śląskiego. Na ukończeniu mam pracę pt. „Obrzędy, zwyczaje, pieśni i wierzenia ludu śląskiego".

W najbliższej przyszłości opracuję studium metodologiczne z zakresu badań terenowych w Polsce. Praca ta ma zwrócić uwagę naukowcom na konieczność opracowania syntetycznego kultury ludowej, polskiej, na obszarze całego kraju z uwzględnieniem regionalnych różnic kulturalnych.

Konstanty Strawiński: 1) Opracowuję podręcznik zoologii. 2) Pracuję nad ekologią zwierząt (biocenologiczne stosunki wśród owadów). 3) Mam 7 prac naukowych wykonanych, gotowych do druku, lecz nie ma możliwości wydania ich z braku funduszów.

Dla celów dydaktycznych z zakresu zoologii pragnąłbym wydawać tzw. „Klucze do oznaczania zwierząt" jako pomoc na ćwiczeniach ze studentami. Te prace są na warsztacie w moim Zakładzie Zoologii Szczegółowej i są stopniowo opracowywane do druku.

Janusz Supniewski: Drukuję obecnie drugie wydanie mojego podręcznika „Farmakologia". Podczas wojny opracowałem drugie wydanie podręcznika „Receptury", podręcznik małej encyklopedii lekarskiej, podręcznik syntez leków nieorganicznych i podręcznik syntez leków organicznych.

Ostatnie cztery książki nie mogą ukazać się w druku z powodu braku papieru.

Praca nasza nie jest pracą literacką, tylko pracą naukowo-badawczą. Obecnie w Zakładzie opracowuje się syntezy nowych związków sulfamidowych do leczenia chorób zakaźnych, ich właściwości farmakologiczne i lecznicze oraz wyosabnia się szczepy pleśni potrzebne do badań nad natybiotykiem.

Projektuję dalsze prace nad syntezą związków chemicznych obdarzonych właściwościami penicyliny oraz nad pochodnymi tiouracylu do leczenia tyreotoksykoz.

Władysław Szumowski: 1) Prawdopodobnie jeszcze w tym roku ukaże się w druku dzieło moje „Filozofia medycyny. Sprawozdania, rozważania" (około 300 stron), przeznaczone dla lekarzy. Będzie ono osobliwością w literaturze światowej.

2) Następnie przystąpię do druku podręcznika dla młodzieży obierającej zawód lekarza, pt. „Propedeutyka lekarska" (ok. 300 stron). Po Szczuckim, Łuczkiewiczu, Sokołowskim i Wrzosku będzie to w naszej literaturze piąte z kolei dzieło mające ten sam tytuł.

3) Mam przygotowany do druku rękopis ponownego wydania „Historii medycyny filozoficznie ujętej", pierwsze wydanie bowiem jest prawie wyczerpane. Drugie wydanie obejmuje ostatnie wyniki nauki historycznej i zawierać będzie około 700 stron. Rozważam projekt wydania tego dzieła w dwojakiej postaci: wydanie pełne na lepszym papierze i wydanie skrócone, tańsze, do nauki dla medyków i lekarzy, bez tekstów, bibliografii i ilustracji — na gorszym papierze.

4) Tymczasem wykończyłbym obszerne, podstawowe dzieło pt. „Metodyka i bibliografia rozumowana historii medycyny i filozofii medycyny" (ok. 900 stron). Zawiera ono do 1000 recenzji. Chciałbym, żeby to dzieło służyło naszej nauce długie lata.

Władysław Tarnawski: 1) Wydaję obecnie w Państwowym Zakładzie Wydawnictw Szkolnych „Historię kultury angielskiej" w 6 częściach. Pierwsza, obejmująca wieki średnie, powinna ukazać się w ciągu lata. Książka jest na poziomie licealnym.

2) Wydawnictwo to razem z zajęciami uniwersyteckimi wypełni mi czas dłuższy, tak że chwilowo większej pracy naukowej nie przewiduję.

3) W okresie wojennym przygotowałem szereg prac, na które na razie nie mogę znaleźć wydawcy. Są to: całkowity nowy przekład Szekspira i monografia o Szekspirze, monografia o Scotcie, praca o największych powieściopisarzach angielskich XIX wieku i historia powieści angielskiej w ciągu ostatniego półwieku przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jak znajdę wydawcę, chciałbym te rzeczy ogłosić, niektóre również po angielsku.

Helena Willmann-Grabowska: Oceniam najzupełniej doniosłość ankiety „Odrodzenia". Nie sądzę wprawdzie, by wśród ogółu przywykłego (nie tylko u nas!) oczekiwać od nauki rezultatów bezpośrednio i natychmiast stosowanych, powstało łatwo zainteresowanie dla nauk tak mało się uwidoczniających jak humaniora, niemniej jednak wszelkie kroki pionierskie w tym kierunku uważam za pożądane i za czyn społeczny.

Czy i jaką książkę wydaję? — Od paru lat leżą u wydawcy „Powieści wampira", tłumaczenie z sanskrytu, opatrzone uwagami i objaśnieniami. Jest to część owego światowej sławy „Oceanu baśni" (Kathasaritsagara, w. XI), dzieła mało dotąd udostępnionego — zwierciadło obyczajowe dawnych Indii. Pożądane byłoby wydać to starannie (papier, druk...), dodałabym chętnie winiety, zaczerpnięte z wzorów indyjskich. Pierwsze pytanie wydawcy było: „Ale kto to kupi?" I na tym rzecz na razie stanęła.

Do tej samej kategorii należy selekcja również z owego „Oceanu" wyjęta; tytuł jej „O cnocie i niecnocie niewieściej". Ta, podobnież jak i poprzednia czasu wojny przygotowana i podobnież około 200 stron obejmująca, leży dotąd u mnie na półce.

Czeka na możność druku, tj. gdy Akademia Umiejętności będzie zasobniejsza w papier i w zecerów, moja „Gramatyka języka staroperskiego", opatrzona wstępnym zarysem dziejów Persji. Jest to podręcznik uniwersytecki dla indoiranistów i językoznawców. Jakiś rok temu rozmawiałam — przypadkowo — z kierownikiem pewnej firmy wydawniczej („drukujemy..." i potem kilka znanych mi tytułów). — „Wydaliby panowie itd. itd.?" — „A ile się tego sprzeda?" — „Może aż kilkanaście", — odpowiedziałam z przechwałką — „resztę trzeba będzie rozesłać bibliotekom uniwersyteckim" (darmo).

Pomijam dalszy ciąg listy; niech się tymczasem „jak figa cukruje, jak tytoń uleży".

Nad czym obecnie pracuję? — Przygotowuję podług niedawno odkrytych źródeł rozprawę o polityce w Indiach w III w. przed Chr., co zresztą było przedmiotem mych wykładów w dwu ubiegłych trymestrach. Tytuł pracy: „Machiavel indyjski". Część pierwsza, o wychowaniu księcia i o polityce domowej, zajmie do trzech arkuszy druku.

Plany pisarskie i wydawnicze? — Te drugie nie ode mnie zależą. Co do pierwszych, zamierzam, a raczej muszę przygotować do ewentualnego druku (jeżeli nie tu w kraju, to gdzie indziej np. we Francji, ale wtedy już nie po polsku) „Podróż Atanazego Nikitina za trzy morza". Jest to ciekawy, choć dość prymitywny pamiętnik kupca rosyjskiego (wiek XV) z uwagami o Indiach takich, jak mu się one przedstawiały. Rzecz już wydana dawniej w Rosji i mająca być wydana na nowo przez Rosyjską Akademię Nauk, ale dotąd nie opracowana pod względem orientalistycznym.

Poza tym trzeba ciągnąć dalej dawno już zaczęte „Religie Iranu".

Tadeusz Wojtan: 1) Wydaję obecnie skrypt miernictwa dla kursów budowlanych przy Państwowej Szkole Budownictwa w Bytomiu według programu Ministerstwa Oświaty.

2) Kończę opracowanie rozpoczętego przed wojną podręcznika stenografii polskiej.

3) Zamierzam opracować podręcznik miernictwa według programu Ministerstwa Oświaty dla 3-letniego Liceum Mierniczego.

Wątpię jednak czy warunki życiowe pozwolą mi na zrealizowanie prac wymienionych w punktach 2 i 3.

*) Por. odpowiedzi w nr. nr. 68—79 „Odrodzenia".

Książeczka o Śląsku

Ewa Maleczyńska. Z dziejów naszego Śląska. Wrocław, 1946; str. 32 (12 ilustracyj).

W sposób umiejętny autorka dała popularny zarys dziejów ziemi śląskiej od prehistorii do współczesności. W obrazie walki żywiołu polskiego z niemczyzną znalazło się miejsce nie tylko dla książąt, biskupów i opatów (którzy zresztą w średniowieczu niemało pomogli do niemczenia kraju), ale dla chłopów i mieszczaństwa. Maleczyńska notuje nawet ruchy społeczne, co prawda lakonicznie, ponieważ ciasne ramy broszury nie pozwoliły jej na pogłębienie spraw gospodarczych i socjalnych. Tak np. opowiada o rozruchach we Wrocławiu w roku 1418, kiedy „pospólstwo wrocławskie, doprowadzone do rozpaczy zdzierstwami niemieckimi, wdarło się do ratusza i najbardziej znienawidzonych rajców — Niemców, odartych z odzienia, zrzuciło z wieży, po czym zagarnęło na krótko władzę w mieście". Znalazła się też wzmianka o oddźwiękach husytyzmu na Śląsku, jak również o „buntach" chłopów za Fryderyka II, w roku 1766, i ruchach w latach 1780, 1782, 1786 i 1793. Szczególnie poważne były one podczas insurekcji kościuszkowskiej i w roku 1811 na tle walki o uwłaszczenie.

Wiele uwagi poświęciła autorka polskim elementom etnicznym, językowym, kulturalnym i narodowym na Śląsku, które mimo miażdżącej przewagi niemieckiej utrzymały się w mowie, stroju, obyczajach, pieśniach, drukach, modlitwach i kazaniach polskich. Nawet dekrety fryderycjańskie musiano ogłaszać po polsku, aby były zrozumiałe dla ludności. Nie pisał na wiatr Hugo Kołłątaj, że „Ślązacy od źródeł Odry aż po granice brandenburskie mówią po polsku". Renesansowi narodowo-politycznemu w XIX stuleciu, który był dziełem chłopów i robotników pod przewodem inteligencji ludowej i przekreślił skutki akcji germanizacyjnej długich stuleci, poświęcone są najbardziej interesujące stronice książeczki.

Gdy ucichły się zgiełk walki politycznej, obiektywni historycy przyznają jedno z pierwszych miejsc pokoleniu, które przywróciło Polsce ziemie zachodnie, w tym bezcenną krainę śląską. „Wspólny trud odbudowy gospodarstwa polskiego i całego życia polskiego — kończy Ewa Maleczyńska swą piękną książeczkę — najlepiej zespoli Śląsk i Polskę, jak zespala rodzinę, która odnalazłszy się po długiej rozłące, wspólnymi siłami uprząta ruiny i ślady obcego panoszenia z domu, odziedziczonego po ojcach i dziadach".

Józef Sieradzki

Nowe oblicze Naprawy

Antoni Olcha. Nowa Naprawa. Warszawa. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1946; str. 164 i 4 nl.

W pierwszej chwili, w obliczu karty tytułowej i jej graficznej treści, łatwo tu o zmylenie, o poczytanie geograficznego sensu słowa „nowa" za istotny. Ale już pierwsze strony reportażu Olchy przywołują jako porównanie znane sprzed wojny dokumenty społeczne: „Wieś nie ma pracy", „Pamiętniki chłopów", „Pamiętniki emigrantów". „Nowa Naprawa", stając ze swoim tłem społecznym i ze swoimi zmaganiami w rzędzie tych dokumentów, jest już jednak wśród nich czymś zupełnie nowym — dokumentarną odpowiedzią na tamte problemy polskich Napraw, daną przez ustrojowe przemiany, przez nową geopolityczną konfigurację i nową strukturę gospodarczą Polski. Charakterystyczną i zasługującą na podkreślenie cechą wielkiego reportażu Olchy jest ukazanie przesiedleńczej akcji Naprawy jako aktu społeczno-gospodarczego, rozwiązującego problemy przeludnienia biednej beskidzkiej wioski i stwarzającego różnorakie bogate możliwości rozwojowe dla jednostek i gromady — karłowatością ziemi i karłowatością stosunków społecznych w ciągu pokoleń zmuszonej do karłowatości życia. Drugim walorem pracy Olchy jest notowanie procesu jednoczenia się chłopów naprawskich z ziemią nadodrzańską. Zostaje on zapoczątkowany jeszcze pod Beskidami narodowym i społecznym rezonansem powrotu ziem zachodnich. Autor ukazuje ów rezonans w duszach naprawskich chłopów. Świadomość możliwości dźwignięcia się z dotychczasowego nędznego życia przez przesiedlenie na ziemie odzyskane przechodzi w nieustanny ferment społeczny prowadzący do wstępnych zwiadowczych i organizacyjnych poczynań. Trzecim — ukazanie jak myśl, organizacja i wspólny wysiłek przełamywały trudności zbiorowego przesiedlenia; jak organizacja, konieczność inicjatywy, planowania, przewidywania, współdziałania z dziesiątkiem instytucyj stały się z kolei w życiu gromadzkim czymś ciągłym i nieodłącznym, jak ułatwiły zbiorowe osiedlenie i ostanie się we wrogim podówczas jeszcze prądnickim pustkowiu, jak doprowadziły wreszcie do szybkiego wzrostu zamożności. Naprawa, symbol nędzy i bezradności wiejskiej, zdobyła i utrzymała ziemie na zachodzie jeszcze przed konferencją poczdamską, utrzymała je głodując i chorując, przyjmując i dzieląc się ostatnim kęsem chleba z innymi, przejeżdżającymi tamtędy przesiedleńcami i repatriantami, w czasie gdy przywódcy naszej londyńskiej emigracji oświadczyli, że ziemie zachodnie nie są Polsce potrzebne. Swoim pionierskim wysiłkiem, jego powodzeniem pociągnęła za sobą inne wsie, w trzech miesiącach — szesnaście tysięcy chłopów-osadników; pobudziła i zapoczątkowała udział rzesz chłopskich w ogólno-narodowym powrocie na zachód.

Olcha, uczestnik akcji przesiedleńczej, przekazuje doświadczenie Naprawy, jej opór i wytrwałość w tej drodze — nie tylko innym wsiom i innym osadnikom. Jest to „dokument, pisany w nadziei, że ukazanie się jego pomoże, choć w najskromniejszym zakresie, do szerszego poznania prawdy o polskiej wsi i polskim chłopie". Zamierzony cel został w dużej mierze osiągnięty przez równorzędne potraktowanie z „drogą na zachód" — dotychczasowych społeczno-gospodarczych dróg wsi przez sięgnięcie do społeczno-obyczajowej historii gromady i stworzenie w konsekwencji jak gdyby monograficznego rysu wsi na przełomie — wsi przesiedleńczej. Jednym z najciekawszych i najbardziej pouczających momentów tej monografii wsiowego przełomu są żywo, chociaż niejednokrotnie trochę po szkolnemu odmalowane przykłady przemiany, wyrastania masy chłopskiej w nowych warunkach, dających pole do działania i zmuszających do inicjatywy. Naprawianie nie tylko obejmują nowe grunta i budynki. W drodze nad Odrę, a potem na osadnictwie w dawnej prądnickiej Lubrzy stają się nowymi ludźmi, Nową Naprawą. Małorolni i bezrolni, którzy w dawnej gromadzie „nie odważali się wypowiadać własnego zdania, tu zadziwiają nieraz myślą lotną i celną, czynem ofiarnym. Żywioł chłopski okazał się tu żywiołem zwycięskim, kochającym postęp... Wielu wczorajszych małorolnych lub bezrolnych, przyzwyczajonych do prymitywnych metod uprawy ziemi i hodowli — staje się w tych nowych warunkach postępowymi kierownikami warsztatów rolnych". Nieodłączna jest tu jedna myśl, którą przytacza zresztą Olcha: tak rozwijały naszych ludzi emigracje. Stawali się na obczyźnie pionierami cywilizacji, świat ogromniał ich pracą, wyrastali w innych warunkach społeczno-gospodarczych, a ci, którzy zostawali we wsi, od kołyski do grobu dusili się w biedzie i ciasnocie. Mocowały się jednostki i gromady. Przeważały niepowodzenia. Chłopi Naprawy odnieśli powodzenie, a wyrośli społecznie już na własnej ziemi, nie musimy już więcej oddawać tych sił obcym krajom. Naprawa nie korzystała z reformy rolnej; wokół ciągnęły się lasy. Przykład Nowej Naprawy jest pouczający dla masy chłopskiej. Tym bardziej, że nie jest odosobniony: „Takich przodujących wsi są już setki i powstają tysiące" — pisze Olcha. A pozostają nam jeszcze do zagospodarowania wielkie majątki poniemieckie.

Wartość wielkiego reportażu Olchy leży w dokładnym wyświetleniu związków społecznych między dowojennym i wojennym bytem wsi i jej wędrówką nad Odrę. Przesiedlenie jest tu zdrowym rozwiązaniem społecznym i gospodarczym, jest konsekwencją i koniecznością dowojennego bytu karłowatej wsi małopolskiej, „zjadającej samą siebie", jej przedwrześniowego życia, które w roku strajku chłopskiego stawało się już życiem bez wyjścia. Książka jest dokumentem spontanicznego powrotu narodu na zachód, ilustruje społeczne i gospodarcze zyski odzyskania Nadodrza, zyski Nowych i Starych Napraw, naprowadza na społeczne i indywidualne przemiany związane z osadnictwem. Jest pierwiosnkiem udziału literatury w powrocie narodu na zachód.

Franciszek Gil

WACŁAW KUBACKI

Quasi odpowiedź na ankietę

1. Co napisałem? Ostatnio pisywałem przeważnie felietony opozycyjne. Od tego czasu zaczęło mi się nawet trochę lepiej powodzić. Dwa zwłaszcza wystąpienia przyniosły mi pełne powodzenie autorskie, skłaniając władze wojskowe do zwrotu bezprawnie zajętego mi mieszkania. Mówiłem o bezprawiu; z przyjemnością stwierdzam obecnie, że niekarność grzechów jawnych ma swe granice. Prokurator zajął się naprawdę tą sprawą. A że z sądami nie ma żartów, najlepszym dowodem, że na naznaczoną rozprawę wezwano nie tylko mnie, żonę i matkę, ale także „obywatelkę Dorotę Kubacką, w charakterze świadka". To nic, że świadek ma trzy lata. W sądach średniowiecznych stawały w podobnych sprawach również zwierzęta i ptactwo domowe w charakterze świadków lub współwinnych (za to, że nie broniły, nie dość głośno alarmowały itp.). W jaki sposób przesłuchiwano tych świadków, to jest dla nas tajemnicą. Wiemy tylko, że bito, wieszano i ścinano nieme stworzenia, zupełnie normalnie i po ludzku. Urozmaicało to niewątpliwie wymiar sprawiedliwości i stwarzało pewne warunki awansu społecznego dla zwierząt.

2. Nad czym pracuję obecnie? Obecnie pracuję nad uzyskaniem pożyczki na remont i na małe inwestycje w oddanym mieszkaniu, ponieważ moi goście wyprowadzając się zabrali sobie na pamiątkę różne drobiazgi domowe jak klucze, lampy, półki, fajerki z kuchni, parę klamek, a nawet jedne z wewnętrznych drzwi. Ludzie doświadczeni powiadają, że miałem wielkie szczęście i bardzo przyzwoitych lokatorów, bo nie rozebrali pieców kaflowych. Taki już jestem szczęściarz! To szczęście próbowała mi trochę zakłócić Elektrownia Miejska, która usiłowała namówić mnie, bym zapłacił rachunki za prąd zużywany dniem i nocą, beztrosko i z fantazją, przez całe pół roku przez okupantów mego mieszkania. Ponieważ okazałem się głuchy na perswazje, odłączono mnie od sieci i grożono zabraniem licznika. Egzekutor twierdził, iż teraz jest takie prawo, że jeden lokator płaci za drugiego, bo obecnie obowiązuje wszystkich obywateli solidarność społeczna.

Widząc, że mam do czynienia z rozgarniętym człowiekiem, wyjąłem plik zeszytów „Życia Literackiego" i zacząłem dowodzić, że różnica między cywilizacją wschodnią i zachodnią polega na tym, że w systemie zachodnim każdy płaci za siebie. To jest właśnie gentlemanería: Inkasent popatrzył lekceważąco na okładkę poznańskiego dwutygodnika i dalej swoje:

— Albo gentleman płaci albo zabieram licznik!

Zacząłem tedy z innej beczki. Nie udało się z Zachodem, może lepiej pójdzie ze Wschodem. Ściągnąłem z szafy pakiet numerów „Kuźnicy" i jąłem swemu prześladowcy czytać różne urywki z różnych artykułów, z których jasno wynikało, że był w grubym błędzie nawracając mnie na solidaryzm społeczny, ponieważ solidaryzm został dawno przezwyciężony, a zasadą życia jest walka sprzecznych interesów. Interesem elektrowni będzie znalezienie naiwnych, którzy by zechcieli płacić nie swoje długi. Moim interesem jest nie płacić cudzych rachunków. Mamy zatem klasyczną sprzeczność interesów! Gdybym spełnił żądanie elektrowni, byłbym w niezgodzie z wymaganiami naukowego ujmowania rzeczywistości: raz solidarnie płacąc za wybryki moich nieproszonych gości, a drugi raz solidaryzując się w ten sposób z zacofanymi poglądami Elektrowni Miejskiej. Reasumując liczne wywody Żółkiewskiego, Szczepańskiego, Schaffa, Kuli i Werfla oświadczyłem twardo, że względy natury zasadniczej nie pozwalają mi na spełnienie życzeń szanownego rozmówcy. Na zakończenie wyraziłem wyniośle zdziwienie, że rada załogowa tak mało dba o unowocześnienie światopoglądu pracowników elektrowni.

Jak tylko facet zmiarkował, że jego misja pachnie reakcją, natychmiast mu rura zmiękła i zaproponował kompromis: połowę zapłacę, a połowę należności przepisze się na „nieściągalne". Oburzyłem się. Po co to konto „nieściągalne"? Przecież istnieje Ministerstwo Obrony Narodowej, a w mieście jest komenda, która winna mieć wszystkich oficerów w ewidencji. Co zaś do kompromisu to zauważyłem, że nie ma nic bardziej niemoralnego w dzisiejszych czasach, niż połowiczność. niż siedzenie okrakiem na barykadzie. Zobaczy obywatel, co o tym myślą czynniki miarodajne — dodałem wyciągając z kąta wiązkę „Odrodzenia". Obywatel nie był jednak ciekaw, uwierzył mi na słowo, pośpiesznie schował do teczki swoje nieściągalne rachunki i co najważniejsze przyłączył mi światło. W stosunku do elektrowni Wschód poskutkował. Wiadomo: Ex oriente lux!

3. Jakie są moje plany pisarskie na najbliższą przyszłość?

W najbliższej przyszłości zamierzam napisać podanie do władz o pozwolenie na posiadanie rozpylacza, żeby móc się następnym razem zażarciej bronić przeciw kolekcjonerom klamek, kluczy, lamp itp. rzeczy.

Przepraszam ob. redaktora za osobisty charakter mej odpowiedzi. Kiedy jednak pisać o sobie, jeśli nie teraz, odpowiadając na ankietę? Zresztą to nie są sprawy osobiste, to sprawy ogólne i powszechne. Pisarza nie można odcinać nie tylko od elektrowni, lecz także od życia. Wielokrotnie czytałem, że nie wolno nam się zamykać na dwa spusty w gabinecie przed twórczą i zwycięską rzeczywistością. Mnie to przynajmniej nie grozi. Nie miałem od dawna gabinetu, a od niedawna nie mam również drzwi i kluczy. Kto ma zresztą dzisiaj gabinet? Dziś pracuje się, jak się uda i jak kto może. Ci, co mają gabinety, przeważnie nie pracują. Ograniczają się do tego, że się nie zamykają przed życiem. W wolnych zaś chwilach od tego uciążliwego i pochłaniającego zajęcia namawiają do niezamykania się tych, co w ogóle nie mają się gdzie zamknąć.

Bardzo bym chciał się w tej chwili zamknąć, żeby spokojnie skończyć mą odpowiedź na ankietę. Ale jak to uczynić? Ja piszę w jednym kącie, a moja Dorota bawi się w drugim. Pośrodku znajduje się sypialnia, gabinet z biblioteką, pokój przyjęć i mały lamus. Niewiele zdołałem zrobić, a tu już pędzi do mnie moja Dorota z dzikim okrzykiem bojowym: „Ja także chcę pisować!" Dla świętego spokoju biorę ją na kolana, daję jej ćwiartkę papieru i ołówek. Kilka minut pracujemy razem realizując sielankę solidaryzmu. Fala natchnienia i artystycznego zapału mej córki ucieka jednak szybko. W ogóle pracuje ona na bardzo krótkich falach, prawie jak radar. Po chwili zaczyna się kręcić, usiłuje przemycić jakieś glossy interlinearne do mego tekstu, a wreszcie zabiera się bez najmniejszego skrępowania do ilustrowania mej odpowiedzi na ankietę rysunkami, które zresztą nie ustępują pod względem tematyki, ani pod względem inwencji rysunkom, jakimi sławny Arp ozdobił wiersze Jana Brzękowskiego. Kiedy zaś próbuję się bronić, odpowiada mi z oburzeniem: „Ty mi przeszkadzasz!" Zauważyłem, że od czasu jak sąd wezwał ją w charakterze świadka, dziewczynie się w głowie przewróciło. A może to tylko jeden z przejawów ogólnej zasady życia, owej powszechnej rozbieżności interesów, na mocy której ona chce się bawić, krzyczeć i biegać, a ja pragnę milczeć, siedzieć i pisać?

Zamykanie się przed życiem jest szkodliwe, bo zuboża pisarza i naukowca. Nie mówiąc już o tym, że samotnictwo pozbawia człowieka najważniejszego społecznie dobra: radości. Prorok Jonasz był niepocieszony, że gniew boży ominął występną Niniwę. Wolterowski Babuk zaś uniewinnił grzeszne Persepolis. Skąd ta różnica? Wolter wyjaśnia to po prostu i chyba trafnie: „Kiedy kto spędził trzy dni w brzuchu wieloryba, nie może być w równie dobrym humorze, jak ten, co spędził czas w operze, w komedii i wieczerzał w miłym towarzystwie".

Więcej Babuków, a mniej Jonaszów — tak powinno brzmieć hasło dnia. Zgoda, tylko nie zapominajmy, że więcej Babuków oznacza równocześnie więcej oper, komedii, dobrych wieczerz i miłego towarzystwa! Ludzie, którzy zaczynali niepodległość w Lublinie, nie mogą się pogodzić z obecną rzeczywistością. Twierdzą, że wówczas były złote czasy uspołecznienia literatury, bo pisarze żyli za pan brat z ministrami. Co do mnie, uważam, iż to nie jest jeszcze taki zły wypadek, że np. minister skarbu czy dyrektor banku emisyjnego nie pije wódki z powieściopisarzami i z lirykami. Gorzej byłoby, gdyby taki dygnitarz zaprzyjaźniwszy się z najwybitniejszymi stylistami polskimi nie dopilnował, żeby napisy na biletach bankowych nie chromały gramatycznie.

Uspołecznienie nie jest sztuką dla sztuki. Ma swoje cele ściśle społeczne. Dlatego przewiduję, że w niedługim czasie powstanie liga obrony przed rzeczywistością. Rychło się okaże, iż względy natury społecznej wymagają, żeby pisarze i pracownicy naukowi mieli gabinety i żeby się zamykali przynajmniej na parę godzin dziennie. Maluczko, a trzeba będzieć nakłaniać i przynaglać ludzi do samotności obiecując im premie za każdą godzinę nadliczbową, spędzoną przy biurku. Już widzę oczyma wyobraźni piękne afisze propagandowe: „Pisarzu, zamykając się w swym pokoju, przyśpieszasz odbudowę kraju!" albo: „Poeto, twoja samotność jest gwarancją demokracji!"

Radzę zacząć kampanię od razu, bo jak tak dalej pójdzie, jak w tym samym tempie będziemy przymusowo kontaktować ludzi nauki i sztuki z „rzeczywistością", jak zaczniemy ich mechanicznie „uspołeczniać" przez upośledzanie mieszkaniowe i łagodne ich zagładzanie — to tylko patrzeć, jak umilkną drukarnie, przestaną wychodzić pisma, nikt nie będzie tworzył książek, wyludnią się uczelnie, laboratoria, zakłady i biblioteki, opustoszeją teatry i szkoły. Droga bowiem, jaką wybraliśmy do uspołeczniania inteligencji, prowadzi w labirynt kłopotów materialnych i dokuczliwości biurokratyczno-administracyjnych. To nie droga uspołecznienia, lecz „subiektywizacji" życia, zacieśnienia widnokręgów do trosk codziennych i cogodzinnych, zastraszającego zubożenia umysłowego, uczuciowego, społecznego i kulturalnego.

Być może, powie ktoś, że wywalam otwarte drzwi. Nie obrażę się o to. Tak często i na wielu płaszczyznach stykam się z rzeczywistością, że prawdopodobnie już w samym sposobie myślenia odbijam i wyrażam epokę, w której żyjemy, czasy, w których ludziom mieszkającym na wsiach i pod lasem wywala się łomami drzwi zamknięte, a ludziom mieszkającym w miastach otwarte drzwi wyjmuje się z zawias, rąbie na podpałkę lub wywozi w świat. Tak czy owak bowiem uprawia się dzisiaj dokoła politykę „otwartych drzwi".

Wacław Kubacki

NOWA GIGANTOMACHIA

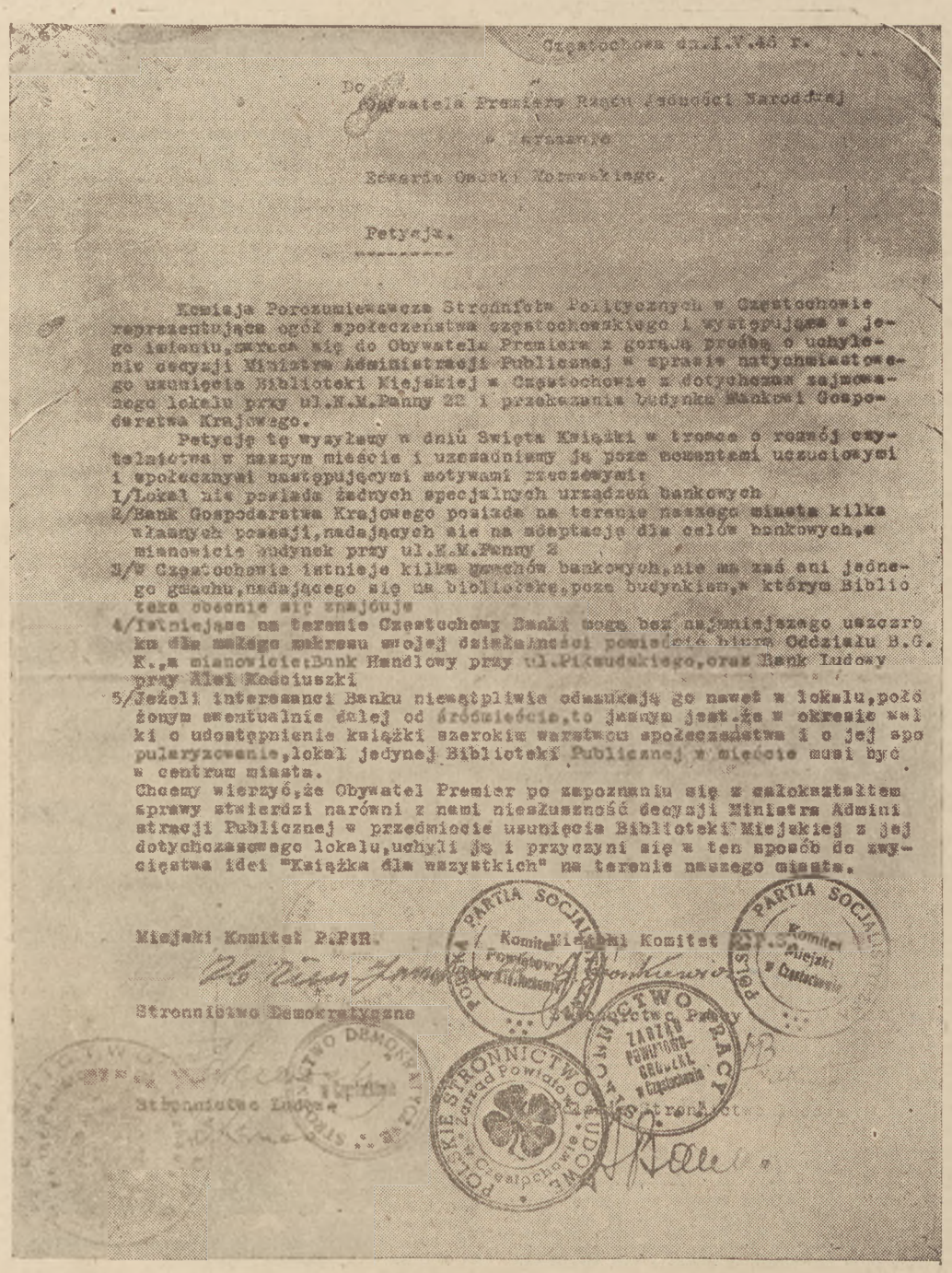

Częstochowa dn. 1.V.46 r.

Do
Obywatela Premiera Rzeczypospolitej Narodowej
w Warszawie
Edwarda Osóbki Morawskiego.

Petycja.

Komisja Porozumiewawcza Stronnictw Politycznych w Częstochowie reprezentująca ogół społeczeństwa częstochowskiego i występująca w jego imieniu, zwraca się do Obywatela Premiera z gorącą prośbą o uchylenie decyzji Ministra Administracji Publicznej w sprawie natychmiastowego usunięcia Biblioteki Miejskiej w Częstochowie z dotychczas zajmowanego lokalu przy ul. N.M.Panny 22 i przekazania budynku Bankowi Gospodarstwa Krajowego.

Petycję tę wysyłamy w dniu Święta Książki w trosce o rozwój czytelnictwa w naszym mieście i uzasadniamy ją poza momentami uczuciowymi i społecznymi następującymi motywami rzeczowymi:

1/Lokal nie posiada żadnych specjalnych urządzeń bankowych

2/Bank Gospodarstwa Krajowego posiada na terenie naszego miasta kilka własnych posesji, nadających się na adaptację dla celów bankowych, a mianowicie budynek przy ul. N.M.Panny 2

3/W Częstochowie istnieje kilka gmachów bankowych, nie ma zaś ani jednego gmachu, nadającego się na bibliotekę, poza budynkiem, w którym Biblioteka obecnie się znajduje

4/Istniejące na terenie Częstochowy Banki mogą bez najmniejszego uszczerbku dla małego zakresu swojej działalności powiększyć biura Oddziału B.G.K., a mianowicie: Bank Handlowy przy ul. Piłsudskiego, oraz Bank Ludowy przy Alei Kościuszki

5/Jeżeli interesanci Banku niewątpliwie odszukają go nawet w lokalu, położonym ewentualnie dalej od śródmieścia, to jasnym jest, że w okresie walki o udostępnienie książki szerokim warstwom społeczeństwa i o jej spopularyzowanie, lokal jedynej Biblioteki Publicznej w mieście musi być w centrum miasta.

Chcemy wierzyć, że Obywatel Premier po zapoznaniu się z całokształtem sprawy stwierdzi narówni z nami niezgodność decyzji Ministra Administracji Publicznej w przedmiocie usunięcia Biblioteki Miejskiej z jej dotychczasowego lokalu, uchyli ją i przyczyni się w ten sposób do zwycięstwa idei "Książka dla wszystkich" na terenie naszego miasta.

Miejski Komitet PPR.

Stronnictwo Demokratyczne

Stronnictwo Ludowe

Miejski Komitet PPS.

Stronnictwo Pracy

W numerze 77 zamieściliśmy artykuł Wacława Kubackiego w sprawie biblioteki miejskiej w Częstochowie. Obecnie reprodukujemy list do premiera wystosowany przez przedstawicieli sześciu stronnictw.

Słowiańszczyzna pierwotna

„Biblioteczka Historyczna" nr 1. **Dr Tadeusz Manteuffel.** Słowiańszczyzna pierwotna. Kraków, Stefan Kamiński, 1946; str. 44, z 7 mapami i wykresami.

Krakowska firma wydawnicza Stefana Kamińskiego podjęła bardzo szczęśliwą inicjatywę wydawania popularnej, lecz na ściśle naukowych podstawach, przez uczonych specjalistów pisanej, „Biblioteczki historycznej", której pierwszy tomik właśnie się ukazał. Słusznie też rozpoczęto od „Pierwotnej Słowiańszczyzny" jako fundamentu dziejów poszczególnych narodów słowiańskich, z Polską włącznie.

Dr Tadeusz Manteuffel doskonale się też wywiązał ze swego zadania. Jeżeli i dalsze tomiki biblioteczki będą na takim poziomie i w tak jasnym, przejrzystym i rzeczowym ujęciu, to wydawnictwo odda ogromne usługi zarówno naszemu nauczycielstwu szkół powszechnych i średnich, jak i młodzieży szkolnej wszystkich stopni. A przyda się też bardzo i wielu naszym dziennikarzom i publicystom, czerpiącym wiadomości najczęściej z niepełnych, nieraz przestarzałych encyklopedii polskich i obcych.

Autor pierwszego tomiku „Biblioteczki" ujął charakterystykę pierwotnej Słowiańszczyzny w osiem zwartych, treściwych rozdziałów, popartych jasnymi wykresami, zapożyczonymi (prócz jednego) z prof. J. Czekanowskiego „Wstępu do historii Słowian". Oparł się zaś na rezultatach badań szeregu wybitnych polskich i obcych uczonych, jak językoznawca prof. T. Lehr-Spławiński, historycy kultury Słowian — Al. Brückner, K. Kadlec, L. Niederle, jak prehistorycy i etnolodzy — J. Czekanowski, Kaz. Tymieniecki, Łęgowski-Nadmorski i inni, oraz na relacjach najstarszych kronik niemieckich o Słowianach.

Po przedstawieniu sprawy pochodzenia i pierwotnych siedzib Słowian, które określa — zgodnie z rezultatami badań opublikowanymi w najnowszym dziele rektora U. J. Lehra-Spławińskiego „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian" (Poznań, 1946, Instytut Zachodni) — jako ziemie pomiędzy Odrą i Wisłą, dowodzi łączności tzw. kultury łużyckiej z pradziejami Słowian, oraz sąsiedztwa ich od najdawniejszych czasów na północo-zachodzie z Germanami, na połudn.-zachodzie z osadnictwem celtyckim, a na północo-wschodzie z Bałtami. Wędrówki i przesuwania się Słowian pod naciskiem różnych obcych plemion z zachodu i wschodu, północy i południa doprowadzają do rozbicia ich jedności i do podziału na trzy grupy językowe: zachodnich, wschodnich i południowych Słowian, których najstarsze dzieje autor kreśli w poszczególnych rozdziałach do połowy X wieku, a więc do przyjęcia przez większość narodów słowiańskich wiary chrześcijańskiej i skrystalizowania się ich zbiorowych organizmów państwowych, lub też popadnięcia pod obce władztwo. Osobny rozdział poświęca autor Państwu Wielkomorawskiemu (830—906).

Bardzo cenne są rozdziały o ustroju i o religijnych wierzeniach dawnych Słowian. Autor cytuje głównie oryginalne głosy najstarszych kronikarzy niem.: Thietmara (z początku XI w.), opisującego słynną świątynię Swarożyca w Radgoszczy, na zach. Pomorzu, oraz Sasa Gramatyka (z połowy XII w.), dającego wcale szczegółowe opisy świątyni Swantowita na wyspie Rugii, jak i obrzędów, służby kapłańskiej i wyroczni tamtejszych Słowian. Broszurę zamyka bardzo pożyteczna tablica synchronistyczna najważniejszych, znanych z dziejów zdarzeń historycznych od VII do połowy X w. po Chr.

Praca dr. Manteuffla winna się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej, tak nauczycielskiej jak i uczniowskiej.

Władysław Dobromilski

O Witoldzie Wyspiańskim

Pamięci Witolda Wyspiańskiego. 4. X. 1886—30. XI. 1945. Biblioteczka nauczyciela-demokraty, nr 3. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 51 i 1 nl.

Witold Wyspiański, który ubył spośród żywych pół roku temu, uosabiał zalety nowoczesnego pedagoga. Żył sprawami nauki, zwłaszcza najbliższych mu nauk przyrodniczych i był popularyzatorem darwinizmu. Uprawiał publicystykę. Żył sztuką i teatrem. Wiele trudu włożył w akcję społeczną. Przejęty ideologią postępu, dawał jej wyraz w pracy politycznej „zawsze z wielką odwagą cywilną". W latach okupacji stał w szeregach walczącej konspiracji. Związany z ruchem robotniczym, wszystkie swe aspiracje intelektualne łączył z emancypacją warstw ludowych. Z nastaniem niepodległości, na stanowisku kuratora okręgu szkolnego w Krakowie, „mieście zadymionym klerykalizmem", Witold Wyspiański, niezłomny demokrata, podjął od razu walkę o przebudowę szkoły i nowe wychowanie. Rozumiał, że „umęczona ludzkość popełniłaby najcięższy błąd, gdyby nie wyciągnęła nauki z obecnej rzeczywistości, nie przystąpiła do przebudowy świata. Tę zaś należy rozpocząć na terenie wychowania".

Książeczka w serii „Biblioteczki nauczyciela-demokraty" jest zbyt skromnym utrwaleniem zasług i znaczenia zmarłego. Krótkie artykuły o charakterze dziennikarskim zawierają zbędne powtórzenia i nie pogłębiają rysów wspominanego człowieka, który oryginalnością myśli i kręgiem zainteresowań należał do najbogatszych duchowo rewolucjonistów starszego pokolenia. Wyróżnia się wspomnienie Eustachego Kuroczki, urozmaicone anegdotą i przepojone szczerym sentymentem dla człowieka o „rozumnych, wesołych i tak dobrze patrzących oczach". Osobiste zalety Witolda Wyspiańskiego znajdują odbicie w artykule Włodzimierza Gałeckiego, wpływ, który wywierał na wychowanków — w szkicu pióra Henryka Dobrowolskiego.

Broszurę kończy rozprawa Zmarłego pt. „O demokratyczne fundamenty szkoły polskiej" i przemówienie na ogólnopolskim zjeździe oświatowym w Łodzi, w 1945 roku. W roku 1937 wyszła drukiem jego praca pt. „Jak powstał wszechświat i człowiek". W rękopisach pozostały „Zagadnienie ustroju i przyczyny uczłowieczenia człowieka", „Biologia ogólna" i „Wszechświat". Puścizną piśmienniczą Witolda Wyspiańskiego, w tym licznymi artykułami rozsianymi w czasopismach i prasie, należy poważnie się zająć. ja

W TEATRACH KRAKOWSKICH

Diabeł za skórą i ludzie kardynała

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie zagrał molierowskiego „Świętoszka". Od trzystu lat co jakiś czas przychodzi na każdy teatr taki moment, w którym wznawia się tę sztukę. Wznawia się ją, i wówczas zaczyna toczyć się dalej dramatyczna dyskusja rozpoczęta przed wiekami na temat obłudy. Każdy zgadza się z tym, że Molier — „obnażył", „uderzył" i „ukazał całą nicość". Ale już w minutę po dokonaniu tych stwierdzeń budzą się wątpliwości. Za życia Moliera i długo potem najpoważniejsi ludzie w społeczeństwie upierali się przy tym, że Molier zoperował obłudę jak konował, bo w swojej komedii razem z obłudą wyciął sporo zdrowych uczuć. Zaatakował pewien niecny gatunek ludzi, którzy modlą się pod figurą, a mają diabła za skórą, ale zarazem odbrązowił pobożność. Obudził nieufność do każdej pobożności, bo w sztuce, w której pokazał jak dalece można się mylić co do cudzej pobożności, nie przedstawił sposobów jak rozróżniać oryginał od falsyfikatu. A nawet tego zagadnienia w ogóle nie postawił scenicznie. Jest rzeczą zrozumiałą, do jakiego stopnia taka sztuka musiała pobożnych przerażać. A zwłaszcza ludzi, którzy w rodzinie czy w najbliższym otoczeniu mieli kogoś pobożnego.

Tekst Moliera, jak wiadomo, roi się od interpolacji. Od różnych kawałków i wstawek, które autor powstawiał ex post, ratując swoje dzieło przed cenzurą i niebezpieczeństwami nieprzychylnych mu analiz. W interpolacjach tych wprawdzie znajdzie się niejedno słówko na temat owego rozróżniania o którym mowa, ale to są tylko słówka. Sama sztuka nie pokazuje nam żadnego sposobu i właściwie przeczy tym słówkom. Wedle tych słówek bowiem prawdziwą pobożność cechować ma to, że pobożność taka zmiękcza serce pobożnego w stosunku do bliźnich i ma w sobie zawsze coś wyraźnie przychylnego dla ludzi. To nieprawda! Pobożność bywa bardzo często pełna protestu przeciw ludziom; pełna krytycyzmu. A poza tym: w wypadku Tartuffe'a nie mamy do czynienia ze zwykłą pobożnością, ale z pewnym jej wypadkiem szczególnym. A mianowicie z pobożnością wyższego stopnia, taką, która zakrawa na świętość. Otóż każde dziecko (i tylko dziecko, bo po wydorośleniu człowiekowi całkiem wychodzi z głowy historia Kościoła), wie, że wśród świętych, zwłaszcza tych dawniejszych, przeważał właśnie ten typ świętości strasznie ciętej na ludzi. Ten typ rewolucyjnej świętości, której chodziło niejako o całą społeczność ludzką przeciw każdemu pojedynczemu człowiekowi. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarła na mnie opowieść o słynnym cudzie praskim św. Jana Kapistrana. Święty ten przybył do Czech z reputacją, że ludzi umarłych ożywia. Grupa studentów bezbożnych postanowiła spłatać mu figla. Jeden z nich schował się do trumny, którą zaniesiono przed świętego. Młodzieńcy wyobrażali sobie, że tym razem na pewno ośmieszą Jana Kapistrana, bo albo święty zechce trupa wskrzeszać, a wtenczas okaże się, że student w trumnie był od początku żywy, albo nie zechce, wtenczas oni ku wielkiemu wstydowi Kapistrana sami wezwą swego kolegę do „zmartwychwstania". Ale Jan Kapistran zaledwie ściągnął wzrok na trumnę, zmarszczył się ogarnięty gniewem i rzekł: — „Kiedyś wszedł pomiędzy umarłe, zostań między umarłymi". — I student już nigdy potem nie powrócił do życia. To typowy postępek świętego, któremu przede wszystkim chodzi o zasady, o „sprawę", a w daleko mniejszym stopniu o indywidualnego człowieka. Tartuffe też wkracza w dom Orgona jako człowiek zasad. Jako teoretyk, nie jako miłośnik jednostek. Zatem do jego wypadku interpolacje molierowskie, o których wspomniałem, zupełnie nie przystają. Tartuffe nawet gdyby był rzetelnym świętym, a nie podrabianym, mógłby zjawić się w domu Orgona z całą swą twardą metodyką doskonalenia się, jak najgorzej usposobiony do ludzi nie wyznających jego pasji. Dysponujący takim gatunkiem pobożności, w którym nie można się rozpoznać czy to jest pobożność prawdziwa, czy to jest pobożność zła, Jedyne kryterium bowiem, które w ostatniej chwili proponuje nam Molier, kryterium przychylności, jaką ludziom powinien okazywać człowiek pobożny, od pobożności w rodzaju tej, którą imituje Tartuffe — odpada. Dlatego w dużym stopniu mają rację ci, którzy twierdzili, że „Tartuffe" jest podejrzeniem rzuconym na wszystkich świętych.

Psychologicznie w tej sztuce nie jest jednak najciekawsza sprawa obłudy i Tartuffe'a i jego fałszywej pobożności. Psychologicznie o wiele ciekawsza wydaje mi się sprawa Orgona. Bo punkt newralgiczny „Świętoszka" nie leży w tym, że znalazł się ktoś, kto naśladuje pobożnego, ale w tym że znalazł się ktoś, który wszystko w życiu gotów jest oddać człowiekowi świętemu. To łaknienie, żeby mieć wokół siebie kogoś świętego, jest fenomenem psychicznym, rzadkim, ale zupełnie autentycznie podpatrzonym, i fenomenem wielkiej siły. Znamy ten fenomen z licznych lektur. Wrażliwość Mickiewicza na Towiańskiego, wrażliwość ostatniej rosyjskiej pary cesarskiej na Rasputina, wreszcie wrażliwość owego Francuza (opowiada o nim Ujejski w książce pt. „O cenę absolutu") na Hoene-Wrońskiego, który mu po złodziejsku zawrócił w głowie obietnicą sprzedania absolutu — wszystko to są wcielenia tej samej siły, która pcha Orgona w ręce Tartuffe'a.

„Świętoszek" w zasadzie jest sztuką czysto historyczną. Obłuda religijna Tartuffe'a jest produktem ubocznym specyficznej struktury duchowej i społecznej pewnej, co najmniej zresztą tysiącletniej, epoki. Dla nas podobna obłuda jest już tylko ciekawostką antykwaryczną, tak jak gawot czy wersalskie maniery. Dzieje się tak nie dlatego, by człowiek współczesny miewał diabła za skórą, ale dlatego, że już się nie modli pod figurą. Nie ma już na świecie widzów, których by takie pokazówki wzruszały. Raczej ludzi dziś fascynują pokazówki bluźnierstw. Na to ostatnie zjawisko wiele osób już zwróciło uwagę. Na to, że ludzie kokietują dziś wcale nie swoimi kontaktami z abstrakcją, ale swoimi kontaktami z konkretem. Nie żadną swobodą w sprawach niebieskich, ale pysznym obyciem w sprawach ziemskich. Dzisiejszy Tartuffe chcąc pochwycić w swoje sieci jakiegoś Orgona ciągnie go na wódkę i na dziewczynki! Nieśmiałego ośmiela, uczy go smaków życia. Czy o takim Tartuffie można mówić, że jest obłudny. Oczywiście! O ile zarzucając wędkę na Orgona, czyni to za pomocą tego, że wzbudza w Orgonie dreszcze wyższe! W innym, nowym wariancie te same dreszcze, które budził w oryginalnym Orgonie oryginalny Tartuffe, obiecując mu wyzwolenie z marnej codzienności przez wtajemniczenie w sekrety nieba. Te same dreszcze, które pod koniec osiemnastego wieku obiecywał typowy przedstawiciel i kolporter ówczesnych specyficznych sposobów ucieczki przed szarością i codziennością życia. Mówię o hr. Grabiance, który setkom bogaczy na zachodzie Europy tumanił głowę obietnicą najwyższych masońskich, mistycznych i alchemicznych wtajemniczeń.

Grając współcześnie „Tartuffe'a", o ile nie ma to być pokaz pewnej już tylko muzealnej sprawy, należy — wydaje mi się — dać jej głąb przez to, że rolę Orgona potraktuje się dramatycznie i serio. Rolę samego Tartuffe'a natomiast nie — wyłącznie cynicznie, nie — czyniąc z niego po prostu człowieka wyrachowanego, ale właśnie lekko go rozszczepiając. Wtedy wypadnie on mniej molierowsko może, ale o wiele ciekawiej, głębiej i nowocześniej. W takim rozumieniu rzeczy Tartuffe nie byłby zwykłym oszustem, lecz człowiekiem, którego pobożność zeszła na psy.

Niestety niewiele mogę powiedzieć o widowisku w teatrze Słowackiego. Jest to teatr urzędowy, który z konieczności musi zapraszać na premiery prasowe mnóstwo osób z różnych ciał miejskich, rad, instytucji i związków. Zaprasza ich tak wiele, że na recenzentów nie znajduje dosyć miejsca. Chętnie zawsze chodzę do teatru, który jest moją lekką namiętnością życiową, i zasiadam na tym miejscu, na które mnie zaproszą. Ambicji moich nie mieszczę w siedzeniach. Ale ostatnio ustalona odległość między sceną a grupą recenzentów, do której należę, jest stanowczo za duża, abym ważył się wypowiadać jakieś zdania o grze i interpretacji. Od dawna w teatrze, o którym mowa, zwróciłem uwagę na to, że moim kolegom-recenzentom z pisma wydawanego przez ks. kardynała z Krakowa daje się pierwszy krok przed recenzentami wydawnictw „Czytelnika". Powiem jednak, że zasiadałem o jeden rząd dalej za ludźmi z „Tygodnika Powszechnego" z dużą satysfakcją. Jestem przekonanym demokratą i sądzę, że każdy może mieć swoje skłonności polityczne i że każdemu wolno je uzewnętrzniać. Podobało mi się zaś zwłaszcza to, że przekonania swoje, których się tu domyślam, teatr wypowiadał tak dyskretnie i niedemagogicznie. Ale kiedy ostatnio wraz z innymi ludźmi Kuryluka znalazłem się o dziewięć rzędów dalej za ludźmi kardynała, zaniepokoiłem się, że oto wkraczamy w okres zbyt impetycznych sposobów, za pomocą których daje znać o swoich sympatiach ta świątynia sztuki.

Nie będąc w stanie nic powiedzieć o „Świętoszku" jako o widowisku, nakreślę tu kilka słów o nim jako o słuchowisku. **Szubert** był znakomity. Rzadko można spotkać aktora o takim darze transfiguracji w głosie. Daum z „Maliczewskiej", Bourdier z „Króla", to u Szuberta ludzie o zupełnie innych gardłach. Poza tym czystość, precyzyjność dykcji tego aktora — najwyższej miary! Ale interpretacja Tartuffe'a? Dla mnie sporna! Właśnie w związku z tym, co wywodziłem wyżej. Sądzę, że w scenie pierwszej z Elmirą winno się u Tartuffe'a ukazywać pewne opory. Również w końcowej scenie, kiedy Tartuffe dowiaduje się, że to on ma być aresztowany, czy nie lepszy byłby akcent dramatyczny zamiast wyraźnie farsowego. Przy moim widzeniu rzeczy cały Orgon (**Jaworski** bardzo dobry przy klasycznej interpretacji) jest od początku do końca fałszywy. Robi się z niego idiotę! Stanowczo lepiej zrobić z niego kogoś namiętnie spragnionego czegoś wyższego w życiu. Co oczywiście może doprowadzać człowieka do katastrofy, ale samo przez się nie jest patentem na głupotę, czy zupełną niezdarność. Poza tą naczelną parą z reszty zespołu słyszałem organy: **Burnatowicza** (Kleanta), namiętnego w swoim oburzeniu, **Podgórskiego** (Damisa), doskonałego w sprzeczce z Tartuffem. Z pań dobra **Karasińska** w roli Elmiry, może zanadto traktująca jako kawał scenę demaskowania Tartuffe'a. W pozostałych rolach: **Próchnicka, Kłońska, Gerson-Dąbrowolska** (pełna temperamentu Doryna). Wyreżyserował widowisko **Karol Frycz**. Kolorystycznie było ładne.

Tadeusz Breza

Korespondencja

HERBARZ CZYTELNICTWA

Do redaktora „Odrodzenia"

Zamieszczona w „Twórczości" (1946, zeszyt 3) rozprawa Karola Wiktora Zawodzińskiego pt. „W stulecie romantycznego tomu poezji", ściśle jej pierwszy petitowy przypis podtekstowy, ośmiela przypomnieć... O tym niżej. Przypis Zawodzińskiego brzmi: „...Przy sposobności warto zanotować, że nasz poeta (Tadeusz Łada-Zabłocki) był widać znajomy wdowie po twórcy nieśmiertelnej komedii, bo nazwisko jej (Gribojedowowej) figuruje w spisie prenumeratorów książki („Poezje", Petersburg, 1845), stanowiącym poza tym najciekawszy dokument ówczesnego składu i rozsiania inteligencji polskiej".

Powyższe stwierdzenie wybitnego krytyka literackiego ośmiela właśnie przypomnieć zbierane i przepadłe w 1939 r. materiały do przygotowanego „Słownika prenumeratorów książek polskich i polskich prenumeratorów książek obcych z końca XVIII i pierwszej połowy XIX w." Jako motto zartobliwe słowa Mickiewicza do Marii Szymanowskiej, pisane z Petersburga w r. 1828, które nasunęły pomysł mej pracy: „My, Poeta Romantyczny, z łaski prenumeratorów autor wielu książek drukowanych, przedawanych, tudzież drukować się i przedawać mających..." — W drodze biletu (subskrypcyjnego) nabytego przez przyszłych czytelników książki ukazały się arcydzieła literatury polskiej jak i pozycje żyjące dziś tylko w bibliografii. Posiadany, cząstkowy zresztą, materiał obejmował kilka tysięcy nazwisk prenumeratorów i stanowił już swego rodzaju herbarz czytelnictwa polskiego. Z morza nazwisk zawodna pamięć przypomina osobliwe zestawienia: na kartach tomiku mało znanego poety, wydanego w Wilnie w roku bodaj 1840, spotykają się dwa (w przyszłości „marszałkowskie") nazwiska: jakiegoś v. Hindenburga, wojskowego w carskiej służbie i któregoś z Piłsudskich, Lessinga gruby tom z końca XVIII w. prenumeruje kilku Polaków-arystokratów. Nazwiska, których nie notuje żaden herbarz szlachty polskiej, odpowiadają sprzed wieku: ta książka była moja! Nie mniejszy powód do dumy rodowej od wątpliwej wartości sygnetu herbowego.

Uwaga marginesowa K. W. Zawodzińskiego zachęca podpisanego do podjęcia ponownego zbierania nazwisk z ocalałych druków ubiegłego wieku: warto by wydać miniaturowego Estreichera prenumeratorów książek.

M. Bartoszewicz (Łódź)

W SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

Do redaktora „Odrodzenia"

W nr. 76 „Odrodzenia", w pięknym artykule poświęconym sztuce Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc", Tadeusz Breza omawiając zagadnienie antysemityzmu w Polsce pisze: „W gazetach nieraz czytam sprawozdania z działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, sam jestem w Krakowie prezesem Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Jeżeli istnienie i prace podobnych organizacji rzeczywiście wydają owoce, przede wszystkim należałoby powołać do życia Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Żydowskiej. Niech ono nad tą obolałą sprawą radzi i szuka leków, a głównie nie dopuści do tego, by każdy z tych narodów nie spłynął w swoje własne, odgrodzone, życiowe koryta".

Otóż pozwalam sobie podać do wiadomości, że z projektem stworzenia organizacji pod takim właśnie zawołaniem niżej podpisany wystąpił przed rokiem bez mała — mianowicie na walnym zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Sprawa oczywiście nie miała bezpośredniego związku z porządkiem obrad walnego zebrania; skorzystałem po prostu ze sposobności — z faktu zgromadzenia się większej liczby kolegów (co jeszcze dzisiaj w zrujnowanej stolicy nie łatwo jest osiągnąć, a cóż dopiero wtedy!).

Inicjatywa moja nie pozostała bez echa, jednakże w czasie posiedzeń wstępnych (odbywanych wspólnie z ludźmi, którzy, jak się okazało, w różnych ośrodkach podejmowali równocześnie tę samą akcję) uległa — po długich i gorących dyskusjach — pewnemu przekształceniu. Zakwestionowano mianowicie nazwę „Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Żydowskiej", zaznaczając, że byłoby to niezbyt fortunnym podkreśleniem obcokrajowości żydostwa na naszym terenie, podczas gdy przecie my wszyscy, którzy zwalczamy absurdalny dziwoląg antysemityzmu, dążymy (gwoli zwięzłości świadomie upraszczam) do czegoś wręcz przeciwnego.

Oto wyjaśnienie: dlaczego nie ma Towarzystwa Przyjaźni.

Argument ten przekonał mnie. Przyłączyłem się do grupy poważnych działaczy (posłowie, publicyści, artyści, członkowie podziemnej Rady Pomocy Żydom w Polsce), którzy poczęli energicznie pracować nad powołaniem do życia potężnej organizacji — o szerokim zakresie działania — poświęconej obronie praw człowieka i zwalczaniu barbarzyństwa, obskurantyzmu itd. Że w tym aspekcie jako najpilniejsze — wręcz palące — i dominujące zagadnienie wysunęła się walka z antysemityzmem — to aż nadto zrozumiałe.

Oto w jaki sposób zamiast Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Żydowskiej powstała „Liga do walki z rasizmem". Liga ta już dziś zaprezentowała się jako potężne zrzeszenie (pierwszym jej wystąpieniem było zorganizowanie w rocznicę powstania w ghetto wspaniałej akademii w Teatrze Polskim) i przy gorącym poparciu rządu oraz współpracy najszlachetniejszych jednostek w narodzie przystępuje do energicznej, wielostronnej i szeroko zakrojonej a zarazem metodycznie opracowanej akcji, która w końcu musi chyba doprowadzić do wyplenienia z naszej gleby społecznej tego pokracznego i ohydnego chwastu, jakim jest antysemityzm.

Gabriel Karski (Warszawa)

NIE TRZEBA POMOCY ZAGRANICY

Do redaktora „Odrodzenia"

W nr. 76 „Odrodzenia" z dnia 12 maja rb. w dziale „W pracowniach pisarzy i uczonych" zamieszczony był list prof. Juliana Nowaka, który stwierdza z żalem, iż z powodu braku w Polsce papieru kredowego nie może wydać w kraju swego 3-tomowego podręcznika pt. „Mikrobiologia i choroby zakaźne", owocu 7-letniej usilnej pracy, wobec czego zmuszony będzie zwrócić się w tej sprawie o pomoc zagranicy.

Centralny Zarząd Przemysłu Papierniczego uważa za swój miły obowiązek wyjaśnić, co następuje:

Niemcy, opuszczając Polskę, zniszczyli i spalili wiele fabryk papieru, wywieźli dużo cennych maszyn i urządzeń, ogołocili zakłady z niezbędnych surowców i materiałów. Dlatego też przejmując po wygnaniu Niemców przemysł papierniczy natknęliśmy się na trudności, które mogły się wydać nie do pokonania. Jednakże zapał i ofiarny trud robotników w połączeniu z wiedzą i talentem naszych inżynierów pozwoliły, przy wydatnej pomocy rządu, szybko opanować sytuację i zorganizować normalną produkcję w większości zakładów. Obecnie przemysł papierniczy ma jeszcze wiele przeszkód i trudności do pokonania, szczególnie odczuwa się brak celulozy bielonej, niezbędnej do wytwarzania wysokich gatunków papieru.

Jednakże produkcja roczna papieru osiągnęła już cyfrę przedwojenną 7 kg. papieru na głowę (ludności) i dziś przemysł papierniczy znajduje się w takiej sytuacji, że prawie zawsze może pomóc naszym wybitnym uczonym i pisarzom w wydaniu ich dzieł, przez wyprodukowanie niezbędnej ilości papieru odpowiedniej jakości.

Załączając przy niniejszym wzory papierów: drukowego bezdrzewnego oraz kredowego, prosimy prof. Nowaka o nadesłanie nam dokładnych danych co do ilości i gatunku potrzebnego dla wykonania podręcznika papieru, który postaramy się jak najszybciej wykonać dla dobra ogółu.

Ministerstwo Przemysłu
Centralny Zarząd Przemysłu Papierniczego
Dyrektor Techniczny
inż. **Emil Kraul**

„ZALOTY" MICKIEWICZA

Do redaktora „Odrodzenia"

Śledząc roztargnionym okiem dość obojętne dla mych założeń literaturoznawczych próby identyfikacji mickiewiczowskiej „D. D.", nie mogę nie zaprotestować, jeśli chodzi o twierdzenie p. Aliny Świderskiej (w nr. 77 „Odrodzenia"), jakoby wiersz „Zaloty" przedstawiał dzieje miłości do Maryli. Jeśli jaki wiersz można nazwać „datowanym wewnętrznie", to ten właśnie; zgadza się na to zresztą p. Świderska, odnosząc go do epoki odeskiej i podkreślając słusznie jego „ton cyniczny", właściwy tylko latom przebywania Mickiewicza w Rosji, w atmosferze ówczesnego życia „wielkiego świata" i w okresie największego pasilenia u niego bajronizmu. Ale i „otoczenie wątkowe" tych nastrojów nie ma najmniejszego podobieństwa do realnych okoliczności, w których rozwijał się stosunek Adama do Wereszczakówny. Opis ceremonialnej wizyty młodego światowca w domu panny, której poświęcił jakiś komplement wierszowany, w niczym nie przypomina romansowych wakacji tuhanowickich, nacechowanych młodzieńczą, wiejską swobodą, może być natomiast poetycko zdeformowanym odbiciem licznych światowych stosunków Mickiewicza, w związku z którymi przechowały się legendy o jego „konkurach". Widoczne jest, że mało go znają w tym domu, nie jak przyjeżdżającego na dłuższy pobyt kolegę syna domu; że jego zachowanie biorą od razu za staranie się o rękę panny i poważnie traktują tę możliwość.

W dodatku pewien realny szczegół tekstu wskazuje wyraźnie, iż rzecz się dzieje nie na terenie rodzimej Litwy, lecz poza granicami dawnej Rzeczypospolitej. Nie jestem zbyt biegły w historii prawa, zdaje mi się jednak, że na terenach „Ziem zabranych", na których za czasów Mickiewicza obowiązywał zachowany tam Statut Litewski, mimo utrzymania w całej pełni poddaństwa chłopów, nie było praktykowane w Rosji sprzedawanie chłopa bez ziemi (na czym oparł fabułę „Martwych dusz" Gogol), na które tak oburza się Mickiewicz w „Ustępie"; w konsekwencji nie było też zwyczaju obliczania wielkości majątku na „dusze", lecz dawny polski zwyczaj liczenia na „chaty włościańskie". Z takim przynajmniej zwyczajem spotyka się czytelnik Kraszewskiego, tego wszechstronnego malarza rzeczywistości ówczesnej, a zwłaszcza stosunków wiejskich i włościańskich na ziemiach litewsko-ruskich. Tymczasem główny dowcip „Zalotów" polega na pytaniu stryja o „dusze" i na odpowiedzi, jakby nie rozumiejącego jego treści, poety. Wskazuje to na wyraźną aluzję do rosyjskiego otoczenia poety.

Tyle w tej sprawie piórem laika. Na zakończenie chciałbym dorzucić, jako uzasadnienie wtrącania się takich jak ja laików do spraw historii literatury polskiej, również w związku z uwagami w tymże nr. „Odrodzenia" Stefana Papée o „Literaturze polskiej" Grzegorza Nawarry, że prawdopodobnie nie doszłoby do jej wydania, gdyby szerzej czytano „Rocznik Literacki" i moje w nim recenzje. Autor ten bowiem od dawna zajmuje w mojej kolekcji honorowe miejsce (przede wszystkim jako poeta).

Jestem bowiem zamiłowanym zbieraczem i mógłbym mówić jak Puszkin („Moje sobranje nasiekomych" — „Moje zbiory owadów") o wspaniałych okazach „Grafomanów wspaniałych" i skromnych pionkach grafomaństwa, przyszpilonych w mych pudełkach krytycznych. Naukowe z nich korzystanie zaoszczędziłoby sporo papieru w dzisiejszych kryzysowych czasach.

K. W. Zawodziński (Zalesie)

W SPRAWIE PRZEKŁADÓW

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z artykułem moim pt. „Traduttore—traditore" („Odrodzenie", nr 78) otrzymałem od tłumacza powieści I. Erenburga — p. Pawła Hertza — wyjaśnienie, że słowo **„fistaszki"** użyte zostało w tłumaczeniu polskim jako odpowiednik rosyjskiego wyrazu **„orieszki"**. Jak wynika z powyższego, mamy tu do czynienia nie z błędem przekładu, lecz z pewnego rodzaju dowolnością tłumacza, który wybrał odpowiednik, zdaniem własnym, najbliższy słowu oryginału.

Bolesław Dudziński (Łódź)

SPROSTOWANIE

W nr 22 (79) zaszła omyłka. W artykule M. Jarochowskiej „Argonauci" na str. 6, 4 szpalta, wiersz 4 od góry winien brzmieć: „Przywiezione maszyny mają wartość 50 milionów złotych".

234

WARUNKI KONKURSU »CZYTELNIKA« NA UTWÓR LITERACKI

W DNIU WYDANIA SETNEJ KSIĄŻKI „CZYTELNIK" OGŁOSIŁ KONKURS NA UTWÓR LITERACKI, PRZEZNACZAJĄC 200.000.— ZŁ NA NAGRODY.

DNIA 21 UB. M. NA POSIEDZENIU JURY USTALONO NASTĘPUJĄCE WARUNKI KONKURSU:

TEMAT: BITWA POD LENINO, WARSZAWĄ, BERLINEM, DREZNEM, KOŁOBRZEGIEM.
(BITWA MOŻE BYĆ TYLKO JEDNYM Z EPIZODÓW UTWORU).

FORMA: POWIEŚĆ, NOWELA, OPOWIADANIE, PAMIĘTNIK, LISTY.

NAGRODY:
1-SZA NAGRODA (ZA POWIEŚĆ) . . . . . 80.000.—
2-GA NAGRODA (ZA INNY UTWÓR) . . . . . 40.000.—
3, 4, 5 i 6-TA NAGRODA PO . . . . . 20.000.—

TERMIN NADSYŁANIA UTWORÓW:
DLA UTWORÓW KRÓTSZYCH . . . . . 1. 9. 1946 r.
DLA POWIEŚCI . . . . . 1. 3. 1947 r.

RĘKOPISY NADSYŁAĆ NALEŻY W ZALAKOWANEJ KOPERCIE Z PODANIEM HASŁA, NA ADRES: „CZYTELNIK", WYDZIAŁ WYDAWNICZY, WARSZAWA, WIEJSKA 14, „JURY KONKURSU".

SKŁAD JURY STANOWIĄ:

PRZEWODNICZĄCY: OB. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, WICE-PRZEWODN.: GEN. BRONI KAROL ŚWIERCZEWSKI, SEKRETARZ: OB. ZOFIA DEMBIŃSKA. CZŁONKOWIE: OB. JANINA BRONIEWSKA, OB. STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI, MIN. LEON KRUCZKOWSKI, GEN. BRYGADY KONRAD ŚWIETLIK.

SPÓŁDZIELNIA WYD. „CZYTELNIK" ZASTRZEGA SOBIE PRAWO PIERWOKUPU NADESŁANYCH RĘKOPISÓW, NIEZALEŻNIE OD ICH NAGRODZENIA.

Oświadczenie w sprawie kultury muzycznej w Polsce

Jest faktem bezspornym, że stan spraw muzycznych w Polsce jest w obecnej chwili wysoce niepokojący. Doceniając powagę sytuacji grono muzyków w Krakowie zainicjowało szereg zebrań dyskusyjnych z udziałem przedstawicieli świata artystycznego. Na zebraniach tych wysunięto następujące postulaty:

1. Punktem wyjścia dla stworzenia właściwych warunków rozwoju muzyki w obecnej polskiej rzeczywistości powinien być dokładnie przemyślany i opracowany plan dotyczący całości życia muzycznego. Jak dotąd — Ministerstwo Kultury i Sztuki nie wystąpiło z podobnym planem i w tym fakcie upatrywać należy główną przyczynę niepowodzenia wielu właściwych poczynań. Dotkliwie daje się odczuć brak ośrodka planującego i organizacyjnego, który reprezentując najwybitniejsze siły fachowe miałby równocześnie szerokie oparcie we wszystkich polskich środowiskach muzycznych. Dlatego też z radością powitać należy zapowiedź utworzenia Centralnej Rady Muzycznej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, składającej się z mianowanych przez Ministerstwo (w porozumieniu z Zarządami Związku Kompozytorów i Związku Zawodowego Muzyków) najwybitniejszych przedstawicieli świata muzycznego ze wszystkich większych miast oraz czynników społecznych. Rada ta, mając głos doradczy we wszystkich zasadniczych sprawach naszego życia muzycznego, miałaby za główne zadanie stworzenie planu, obejmującego całość zagadnień. W sprawach o charakterze regionalnym winny przyjść Radzie Centralnej z pomocą Wojewódzkie Rady Kultury i Sztuki, w których skład wchodziliby także m. i. reprezentanci miejscowych ośrodków muzycznych.

2. Na pierwsze miejsce potrzeb życia muzycznego wysuwa się sprawa opieki nad twórczością muzyczną, tym bardziej, że twórczość ta znajduje się obecnie w fazie bujnego rozwoju. Fakt zdobycia przez polskich kompozytorów czołowej pozycji na pierwszym po wojnie międzynarodowym festivalu muzyki współczesnej dostatecznie dokumentuje jej wysoki poziom. Tymczasem kompozytorzy nasi, w większości wypadków pozbawieni przez wojnę swego dorobku twórczego i warsztatów pracy, znajdują się w warunkach materialnych uniemożliwiających im swobodną pracę twórczą. Jedynym wyjściem może być pomoc państwa. Pomoc ta winna być zarówno doraźna (przez konkursy, zamówienia, nagrody, stałe subwencje), jak też planowana i działająca stale.

3. Popieranie ruchu wydawniczego. Należy podkreślić, że wydawnictwa polskie, zwłaszcza „Polskie Wydawnictwo Muzyczne" w Krakowie i „Czytelnik" w Łodzi, które w tej chwili ze względu na szczupłość funduszów nie mogą wydać wszystkich cennych utworów naszej twórczości, mogłyby przy odpowiednim poparciu pokryć nawet potrzeby rynku międzynarodowego. Unieruchomienie niemieckich firm wydawniczych stwarza takie właśnie możliwości. Fakt przejęcia części ich zadań — pomijając już znaczne korzyści handlowe — miałby olbrzymie znaczenie propagandowe dla polskiej muzyki za granicą i umożliwiłby równocześnie zaspokojenie potrzeb własnych. Koniecznością więc staje się:

a) obowiązek popierania twórczości współczesnej,

b) wydawanie literatury związanej ze sprawą upowszechnienia muzyki (śpiewniki, elementarze muzyczne, podręczniki itp.),

c) wydawanie dawnych arcydzieł muzyki polskiej,

d) szczególnie ważna i pilna, a ostatnio zaniedbana ze względu na brak funduszów, akcja popierania badań i wydawnictw poświęconych muzyce ludowej,

e) uruchomienie dostatecznej ilości sztycharni nut.

4) Poważnego poparcia wymaga szkolnictwo muzyczne. Znajduje się ono obecnie w stadium zasadniczych reform, mających na celu zarówno wykształcenie muzyka zawodowego, jak i przygotowanie szerokiej akcji upowszechnienia muzyki. Potrzebujemy wielkiej ilości muzycznych szkół dla dzieci, gimnazjów, liceów muzycznych oraz paru akademii, kształcących kompozytorów, dyrygentów i przyszłych pedagogów. Potrzebujemy jeszcze większej ilości szkół muzycznych dla laików, szkół przygotowujących przyszłych odbiorców muzyki.

5. Szczególnej reformy wymaga gruntowna i szybka reforma nauki śpiewu i muzyki w szkołach ogólnokształcących drogą

a) włączenia do zajęć szkolnych — obowiązkowych, stałych i systematycznie ułożonych koncertów,

b) zmiany samych metod nauczania śpiewu, z czym równocześnie wiąże się

c) problem utworzenia kadr odpowiednio wykwalifikowanych nauczycieli. Tu należy też wspomnieć o uposażeniach profesorskich i nauczycielskich w całym szkolnictwie muzycznym, które obecnie nie dają nawet minimum egzystencji, o sprawie opieki nad studentami w formie stypendiów i burs, wreszcie o konieczności zorganizowania przy szkołach muzycznych i ogólnokształcących muzycznych pomocy naukowych jak fortepiany, gramofony, głośniki radiowe itp.

Ważnym czynnikiem w procesie upowszechnienia muzyki jest odpowiednia organizacja ruchu koncertowego. Istnieje konieczność prowadzenia planowej gospodarki zrzeszonymi i niezrzeszonymi dotąd w zespołach solistami, ustanowienia przy filharmoniach Rad Artystycznych kontrolujących poziom i linię repertuarową oraz konieczność zapewnienia filharmoniom odpowiednich uposażeń w celu powstrzymania odpływu wartościowych sił do kawiarń i dancingów. Podobną politykę stosować należy w odniesieniu do zespołów kameralnych, operowych i chóralnych. Obecną ich sytuację można określić jako katastrofalną. Wystarczy przypomnieć, że jeden z najlepszych zespołów w Polsce, chór Filharmonii krakowskiej, pracuje bez gaż, subwencji i przydziałów. Należy tu również sprawa Centralnego Biura Koncertowego, w którego rękach spoczywa cały ruch estradowy w Polsce, koncerty szkolne, robotnicze itp. Biuro to otrzymuje teraz na swe potrzeby kwotę 15 000 zł. miesięcznej subwencji, co jest — rzecz prosta — pozycją śmiesznie niską. Nie można dopuścić, by brak odpowiednich sal, instrumentów, środków lokomocji i poparcia finansowego uniemożliwiał Centralnemu Biuru Koncertowemu prace, mające tak doniosłe znaczenie.

Nie mniej ważnym czynnikiem umuzykalnienia kraju jest opera. Jak dotychczas nie mieliśmy w powojennej Polsce nawet prób rozwiązania tego problemu, gdyż opera — przedsiębiorstwo z zasady deficytowe — wymaga znacznych subwencji. Istniejąca placówka operowa w Poznaniu — to mało. Konieczną rzeczą jest uruchomienie jeszcze kilku odpowiednio wyposażonych scen operowych, któreby wychowywały szerokie masy odbiorców, a równocześnie dały pracę rzeszy artystów.

Zebrani stwierdzili, że już w roku bieżącym powinny rozpocząć się przygotowania związane z obchodem stulecia śmierci Fryderyka Chopina. Szczególnej uwagi wymaga sprawa sejmowego wydania dzieł Chopina, wydawnictw naukowych i popularyzatorskich, organizacji międzynarodowego konkursu, pomnika, wystawy pamiątek. Również i dziesięciolecie śmierci Karola Szymanowskiego, przypadające na rok 1947, winno być odpowiednio wyzyskane dla propagandy jego muzyki. Najdalej w jesieni rb. winien powstać komitet uczczenia pamięci Karola Szymanowskiego.

Oświadczenie powyższe podyktowane zostało głęboką troską o los muzyki polskiej. Postulaty tu wyrażone — zwłaszcza powołanie do życia Centralnej Rady Muzycznej — wymagają jak najrychlejszej realizacji. Jeśli sytuacja obecna nie ulegnie poprawie, nastąpić może okres zastoju, który spowodowałby nieobliczalne wprost szkody dla polskiej kultury muzycznej.

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Witold Balicki, Walerian Bierdiajew, Jerzy Broszkiewicz, Hanna Cybisowa-Rudzka, Tadeusz Dobrowolski, Zbigniew Drzewiecki, Eugeniusz Eibisch, Jan Hoffman, Roman Ingarden, Zdzisław Jachimecki, Stefan Kisielewski, Kazimierz Krzyształowicz, Karol Kuryluk, Stefania Łobaczewska, Jan Maklakiewicz, Artur Malawski, Zygmunt Mycielski, Wojciech Natanson, Tadeusz Ochlewski, Stefan Otwinowski, Roman Palester, Adam Polewka, Andrzej Pronaszko, Julian Przyboś, Zygmunt Radnicki, Józef Reiss, Adam Rieger, Bronisław Romaniszyn, Edmund Rudnicki, Czesław Rzepiński, Zbigniew Śliwiński, Henryk Sztompka, Artur Taube, Jerzy Turowicz, Eugenia Umińska, Juliusz Weber, Jerzy Waldorff, Mieczysław Weyman, Stanisław Wiechowicz, Kazimierz Wyka.

Jubileusz zasłużonej pianistki

HELENA OTTAWOWA,
zasłużona nestorka pianistów polskich, obchodziła w dniu 26 maja 1946 r. jubileusz swej 50-letniej pracy artystycznej

kim dać odpowiednie pole pracy. Dla większości scena pozostanie zawsze jeszcze głównym terenem działania, tak samo jak dla znacznej części naszej publiczności opera na długo jeszcze pozostanie jednym z najważniejszych środków umuzykalniania.

Właśnie dziś, w dobie popularyzacji muzyki, bardziej niż kiedykolwiek powinno się zwrócić uwagę na problem opery. „Elita" może się obejść bez opery, opera może być dla niej nawet — zwłaszcza w pewnych swych formach — przeżytkiem. Dla szerokich mas jednak długo jeszcze zachowa swą siłę przyciągającą i ta okoliczność musi być wykorzystana dla celów upowszechnienia muzyki.

Koncert piątkowy w dniu 31 maja, ostatni koncert filharmoniczny w bieżącym sezonie, przyniósł nam uwerturę Webera do „Oberona", Beethovena II Symfonię i Brahmsa Koncert fortepianowy d-moll. Jeżeli chodzi o osiągnięcia orkiestry i jej kierownika **W. Bierdiajewa,** na pierwszym miejscu postawić należy Symfonię Beethovena, która zagrana była solidnie, z dobrym wyczuciem stylu, z należytym wycieniowaniem charakterystycznych odcieni dynamicznych i szlachetnie zarysowaną frazą. Gorzej wypadła uwertura do „Oberona". Nie było w niej owego ładunku romantyzmu, tak bardzo znamiennego dla Webera, nie było szerokiego oddechu, poszczególne fragmenty nie stanowiły całości, tylko sumę różnorakich motywów.

Jako solista wystąpił **Jan Hoffman,** jeden z najmuzykalniejszych pianistów naszych obecnej doby. Dał tego dowód pokonując trudności tego wspaniałego dzieła o odpowiedzialnej i trudnej partii fortepianowej. Ze wstrzemięźliwością, stroniącą od jakiegokolwiek efekciarstwa, a równocześnie ze świetnym opanowaniem techniki, potrafił Hoffman wydobyć plastycznie gigantyczną koncepcję Koncertu d-moll Brahmsa. Każdy temat miał swoją własną linię i odpowiednie zabarwienie emocjonalne, konstrukcja części I i III była jasna i przejrzysta, przepiękna kantylena części II prosta i bezpośrednia, a przy tym skupiona.

Orkiestra zrobiła duży wysiłek, by podciągnąć się do poziomu solisty, co jej się nie zawsze udawało, niektóre tempa nie były też zupełnie właściwe (wchodząc np. z pierwszym tematem części początkowej „Maestoso" wzięła tempo stanowczo za szybkie, które nie pozwala oddać właściwego, monumentalnego charakteru dzieła). W sumie jednak wrażenie było potężne. Jest to niewątpliwie jeden z tych utworów literatury fortepianowej, który zasługuje na częstsze umieszczanie w programach naszych koncertów, aniżeli mu to przypada w udziale.

Do programu ostatniego koncertu dołączono sprawozdanie z działalności Filharmonii krakowskiej w sezonie 1945—1946. Ze sprawozdania tego wynika, że Filharmonia krakowska dała w sezonie bieżącym ogółem 60 koncertów z udziałem całego szeregu wybitnych dyrygentów i solistów.

Mimo wszelkie zastrzeżenia, jakie nasuwały się niejednokrotnie w odniesieniu do programów, ogólnej linii repertuarowej itp., obiektywizm każe uznać, że została tu dokonana duża praca, będąca wkładem do kultury muzycznej Krakowa, zwłaszcza jeżeli się zważy trudności, z jakimi walczy jeszcze ciągle ta pierwsza w kraju placówka muzyki symfonicznej. Jako najbardziej paraliżujące swobodną pracę zespołu wymienimy zbyt niskie uposażenie muzyków orkiestrowych, braki w instrumentach, w materiale nutowym i ustawiczne kłopoty lokalowe. Za jedno z najważniejszych osiągnięć należy uznać stworzenie chóru Filharmonii, który — jak się dowiadujemy ze sprawozdania — pracuje w niewiarygodnych wprost warunkach: bez gaży i przydziałów! Rzadki rzeczywiście przykład entuzjazmu i bezinteresownej pracy, który jednak jest zjawiskiem stanowczo anormalnym. Stan ten musi jak najprędzej ulec zmianie. Chór przy Filharmonii krakowskiej musi być utrzymany, bo bez niego niemożliwością byłoby wykonywanie wielu podstawowych dzieł z zakresu muzyki chóralnej i oratoryjnej, a jeżeli ma być utrzymany, to musi otrzymać przynajmniej jakieś prymitywne podstawy egzystencji. Rzecz jasna, że unormowanie tych stosunków nastąpić może jedynie tylko drogą odpowiednich subwencji.

Na zakończenie jeszcze jedna drobna uwaga: kwestia tzw. objaśnień w programach koncertowych. Nie wiadomo właściwie dla kogo są pisane i jaki mają cel? Bo czyż owe dwa, trzy zdania o Weberze wraz z określeniem, że „w „Oberonie" znajduje się źródło fantastycznej romantyczności w muzyce" pomogą do zrozumienia jego muzyki? Czy jedyny, zamieszczony w programie szczegół o Brahmsa Koncercie d-moll, że „przypuszczalnie" powstał na wiadomość o samobójstwie Schumanna, nie jest po prostu kompromitujący w programie symfonicznego koncertu Filharmonii? Nie jest on chyba przeznaczony dla muzyków, a laikowi sugeruje zupełnie niewłaściwy stosunek do dzieła muzycznego. Czy nie bardziej na miejscu byłoby parę rzeczowych wiadomości, które pozwoliłyby słuchaczowi muzycznie niewykształconemu umiejscowić utwór muzyczny w odpowiedniej epoce i stylu? Oczywiście redagowanie takich objaśnień w formie popularnej nie należy do najłatwiejszych zadań, nie jest jednak czymś nieosiągalnym. Należy ono do tych na pozór drobnych i mało ważnych czynności technicznych, które poziomem swoim świadczą o kulturze danego środowiska.

Stefania Łobaczewska

Z teki dr Prota Sowizdrzała

Historia się powtarza

Laktancjusz? Wielki inkwizytor moralności pogańskiej i felietonista, który wyspecjalizował się w kronice skandalicznej Olimpu. Tego nauczyciela retoryki zajął w micie o Prozerpinie tylko szczegół, że Ceres ją miała z nieprawego łoża. Złoty deszcz, w którego postaci Jowisz dostał się do zamkniętej Danai, to oczywiście pieniądze, które panu bogów i ludzi zdobyły przychylność młodej dziewczyny! Jakże blisko jesteśmy tu swobodnego konceptu, znanego także z fraszki staropolskiej pt. „Na obraz Ledy". (Por. Jan Smolik, „Wiersze różne". Wydał z rękopisu Roman Pollak. Warszawa, 1935, str. 34).

O Herkulesie powie Laktancjusz, że świat cały przewędrował nie tyle dla zyskania sławy, ile dla dogodzenia chuci, nie tyle celem zabijania potworów, ile celem płodzenia dzieci. Zaciekły rewizjonista chrześcijański wykpiwał starorzymskie bóstwa o rolniczo-gospodarskim charakterze, jak np. bóstwo rdzy zbożowej, duszka opiekuna nawozu lub patrona ogniska, który rezydował w piecu!

Nie mniej dowcipny potrafił być św. Augustyn wyśmiewając pedantyzm rzymski, co mnożył w nieskończoność i sine necessitate bogi, boginki, duchy i duszki. Posłuchajmy tylko:

„Kiedy mężczyzna i kobieta związki małżeńskie zawierają, służy do tego bóg Iugatynus (Związywacz). No, można to jeszcze wyrozumieć. Ale otóż trzeba pannę młodą wprowadzić do domu. Wykonywa to znowu Domidukus (Domowódca); żeby zaś młoda pani pozostawała w domu, dopomaga do tego bóg Domitius (Domownik); aby z mężem przebywała, dodana jest do pomocy bogini Manturna (Przebywanna). Czegoż chcieć jeszcze więcej? Uszanować by trzeba wstydliwość ludzką. Niechby już reszty dokonała pożądliwość ciała i krwi, uczciwszy tajemnicę wstydu! Po kiegoż licha cały tłum bożków i bogiń zapełnia jeszcze łożnicę, kiedy już nawet weselnicy z niej wychodzą? A zapełnia nie dlatego, by myśl o ich tam przebywaniu była ku pomocy wstydliwości, lecz dlatego, by słabe młode dziewczę, zaległnione z powodu nowych dla siebie rzeczy, pozbawione było bez przeszkód dziewictwa przy pomocy tych bóstw. Bo oto stawają do pomocy: bogini Virginiensis (Dziewicza) i bóg ojciec — Subigus (Podkładnik) i bogini matka Prema (Tłoczka) i bogini Pertunda (Przebijaczka) i Wenus i Priapus. Cóż to ma znaczyć? Jeżeli całkowicie nad tą sprawą zatrudniony mąż potrzebowałby jeszcze pomocy bóstw, czyżby nie wystarczył jakiś jeden bóg lub jedna bogini? Czyżby nie dosyć było samej Wenery, która podobno od tego też ma swoje miano, że bez siły (vis) kobieta nie przestałaby być dziewicą (virgo)? Jeżeli ludzie mają jakiekolwiek poczucie wstydu, które bogom jest obce, to czyż nowożeńcy, gdy wierzą, że tyle bóstw obojga płci jest obecnych i wtrącających się do tej czynności, nie spłoną wstydem aż do tyla, że on słabnie w pobudliwości, a ona więcej się broni? No i rzeczywiście, jeśli już jest bogini Virginiensis (Dziewicza), by dziewicę szat pozbawić, jeśli jest bóg Subigus (Podkładacz), by ją mężowi podsunąć, jeśli jest bogini Prema (Tłoczka), by podsuniętą tak mocno przytulić, iżby się nie kręciła — to cóż tu jeszcze robi Pertunda (Przebijaczka)? A wstyd! A za drzwi z nią! Niechże i małżonek sam też coś działa". („Państwo Boże", ks. VI, roz. 9, tłum. ks. Wł. Kubicki. Poznań, 1930, I, 345-6).

Laktancjusz i św. Augustyn nie przypuszczali, że w kilkanaście wieków później z takim samym impetem rzucą się protestanci na katolickich patronów i świętych, co strzegli pobożnym papistom owiec, czuwali nad wołami, opiekowali się kurnikami, doglądali pasiek, chodzili koło sadów i ogrodów oraz specjalizowali się w różnych chorobach, żeby dobrze obsłużyć wszystkich mających prawo korzystać z niebieskiej ubezpieczalni: św. Apolonia leczyła zęby, św. Otylia kurowała oczy, św. Petronela wypędzała gorączkę z ciała a św. Roch był od morowego powietrza, o czym u Brücknera choćby wyczytać można. Najwięcej zaś korciło różnowierców, synów Belzebuba, że aż dwóch świętych, a mianowicie św. Job i św. Jacek, zostało delegowanych do chronienia wiernych przed „morbus gallicus".

podał do druku **Sigma**

Życie muzyczne w Krakowie

Wróćmy do kroniki życia muzycznego z ubiegłego tygodnia. Jako solistka wystąpiła w dniu 24 maja w filharmonicznym koncercie piątkowym **Barbara Kostrzewska.** Jest to śpiewaczka wybitnie utalentowana. Posiada przede wszystkim bardzo piękny materiał głosowy, którym włada ostrożnie na razie, ze zbyt małą swobodą jeszcze, ale poprawnie i muzykalnie. Gdy te zahamowania zostaną przełamane, ujawni się dopiero właściwy talent liryczny Kostrzewskiej, której predyspozycje idą już dziś raczej w kierunku lżejszych pieśni i arii niż w kierunku koloratury. Aria z „Traviaty" odśpiewana była wprawdzie bezbłędnie, ale bez tego rozmachu koniecznego dla śpiewaczek koloraturowych na scenie. Bardzo ładnie wypadła natomiast aria z „Goplany" Żeleńskiego i niektóre bisy (choć należące już do lżejszej kategorii repertuarowej). Wydaje się, że przyszłość Kostrzewskiej leży w muzyce o typie bezpośredniej, prostej liryki, zwłaszcza tam, gdzie liryka ta przychodzi do głosu poprzez samą barwę dźwięku

Gdy słuchamy zdolnych młodych śpiewaków typu Kostrzewskiej, mimo woli przychodzą na myśl refleksje na temat dzisiejszego stanu opery w Polsce. Co mają począć ze sobą tacy śpiewacy, gdzie eksperymentować i nabywać rutyny scenicznej, poznawać repertuar operowy itp., skoro mamy w Polsce w tej chwili jedną zaledwie placówkę operową i nic nie wróży poprawy tych stosunków w najbliższym czasie? Należy przecież pamiętać o tym, że nie każdy śpiewak czy śpiewaczka ma dane do występów estradowych czy oratoryjnych, że zresztą nasze życie koncertowe za mało jest jeszcze rozwinięte w obecnej chwili, by mogło im wszyst-

INOWROCŁAW-ZDRÓJ
Silne, złożone 31% solanki i borowina.
Wodolecznictwo — elektroterapia — inhalatorium.
Basen kąpielowy.
Leczy: reumatyzm, artretyzm, choroby kobiece, serca, nerwowe, ischias.
223 Prospekty wysyła Zarząd Zdrojowiska.

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.